DUNAJEC

TYGODNIK PZPR

Nr 1–2 (12/13) Rok II Nowy Sącz 11 stycznia 1981 Cena 4 zł

1980 ✱ 1981

DAJ NAM UPRZĄTNĄĆ DOM OJCZYSTY,
TAK Z NASZYCH ZGLISZCZ I RUIN ŚWIĘTYCH
JAK Z GRZECHÓW NASZYCH, WIN PRZEKLĘTYCH;
NIECH BĘDZIE BIEDNY, ALE CZYSTY —
NASZ DOM Z CMENTARZA PODŹWIGNIĘTY.

NIECH SIĘ WYPEŁNI DOBRA WOLA
SZLACHETNYCH SERC, CO W KLĘSCE WZROSŁY,
PRZYWRÓĆ NAM CHLEB Z POLSKIEGO POLA,
PRZYWRÓĆ NAM TRUMNY Z POLSKIEJ SOSNY.

LECZ NADE WSZYSTKO – SŁOWOM NASZYM,
ZMIENIONYM CHYTRZE PRZEZ KRĘTACZY,
JEDYNOŚĆ PRZYWRÓĆ I PRAWDZIWOŚĆ:
NIECH PRAWO ZAWSZE PRAWO ZNACZY,
A SPRAWIEDLIWOŚĆ – SPRAWIEDLIWOŚĆ.

JULIAN TUWIM
„KWIATY POLSKIE"

✱ PALKA ✱

ADAM OGORZAŁEK

Pisane w pośpiechu

PONIEDZIAŁEK: Chyba mnie słuch nie myli! W rozmowach i listach jakby mniej niecierpliwości. Uroczystości na Wybrzeżu — oraz złożony kontekst polityczny towarzyszący zamknięciu tamtego gorzkiego epizodu naszej historii — podziałały kojąco na znerwicowane życie publiczne. Przybyło dobrej woli? Przybyło spokoju? A może to tylko siła tradycji? Może przedświąteczny nastrój złagodził na chwilę namiętności?

Równocześnie rejestruję z różnych stron nowe pytania. Jedni obawiają się, że spokój to zapowiedź bezruchu. Drudzy mówią, że odnowa utonie w potoku słów. Jeszcze inni pytają: czy ona w ogóle do nas dotarła?

Pierwszą wątpliwość wydaje mi się zasadna: jeżeli w imię świętego spokoju pogrążymy się — choćby na krótko — w bezruchu, **jeśli po tygodniach napięć, rozliczeń i kontrowersji nie przejdziemy do energicznego, uczciwego wcielania w życie uzgodnionych wniosków, jeśli braknie przekładni kierującej myśl społeczną ku praktyce — wtedy zniechęcenie i rozczarowanie przeważy.** Ten wariant jest nie do przyjęcia. Ani partia, ani zdrowe siły w związkach zawodowych nie mogą dopuścić do zmarnowania energii, jaka się w narodzie nagromadziła. Nowa solidarność Polaków — żeby nie okazała się słomianym ogniem — wymaga teraz ogromnej mądrości wyrażającej się w konkretach.

Natomiast w sprawie słów, które towarzyszą procesom przemian, nie da się jednoznacznie wyrokować. Czy mają rację ci, którzy twierdzą, że mniej należy gadać, a więcej robić? Oczywiście! Zużyły się slogany; straciły moc przekonywania słowa nadmiernie eksploatowane. Nie wpadajmy jednak w skrajność: czyż bowiem w ogóle możliwe jest porozumiewanie się bez słów? Czy znamy inny, lepszy sposób przepływu myśli?

Gdybyśmy pogrzebali wszystkie piękne słowa, stalibyśmy się niemowami. Przeczytajcie zresztą Państwo fragment wiersza, który zamieszczamy na pierwszej stronie tego numeru. Krążył ów poemat w odpisach po kraju w czas głodu i terroru, budził nadzieję w okupowanej Polsce. Po czterdziestu prawie latach, w zupełnie innej epoce, nadal brzmi świeżo.

Tuwimowski wiersz wkomponował Franciszek Palka w regionalne odrzwia, zwieńczył je sosrębem, na którym umieścił dwie daty: rok, który żegnamy i ten, który nadchodzi. Położył Franek przede mną rysunek i czeka. Milczy, lecz przecież wyczuwam, o co mu idzie. Przekreślić rok 1980, czy pozostawić tę datę jako równouprawnioną obok roku dopiero zaczętego?

— *Skreśl* — *mówię.* — *Ale delikatnie, cienką, nieagresywną kreską...*

Z wyroku kalendarza ów rok brzemienny w skutki musi odejść, ale poniesiemy dalej jego myśli. Starczy ich na wiele lat. A może już na zawsze?

WTOREK: W przedświąteczny nastrój wmieszał się znienacka złowrogi telefon: na dalekiej budowie uległ ciężkiemu wypadkowi mój przyjaciel. Najsprawniejszy spośród nas, najbardziej odważny, wyczulony na fałsz i niezawodny — zdany teraz już tylko na umiejętności lekarzy. Bezsilność. Pustka w środku. Czekanie. Jakże niewiele może zrobić człowiek w obliczu nieszczęścia! Porażające uczucie.

ŚRODA: Pierwsza od dłuższego czasu niepospieszna rozmowa z towarzyszami w wydziale pracy ideowo-wychowawczej KW. Zastanawiamy się, jak przenieść na łamy „Dunajca" tę dyskusję, która toczy się w partii. Sygnalizuję moim rozmówcom pojawienie się poglądu, iż odnowa nie dotarła do Nowego Sącza. Dopóki takie głosy nadchodziły anonimowo z Muszyny, Zakopanego, Krynicy czy Gorlic — można było podejrzewać niecierpliwość. Można było pomyśleć, że płyną one od ludzi niezorientowanych lub zaślepionych. Mówiliśmy wtedy: poczekajcie cierpliwie, najważniejsze jest niewidoczne dla oka, bo dokonuje się w ludziach. Zaowocuje niebawem. Wskazywaliśmy na zmiany kadrowe, na przeobrażenia w stylu pracy wojewódzkiej instancji partyjnej i w administracji.

Sam tak mówiłem, bo miałem wgląd w wykluwające się — nie bez oporów, ale jednak ustawicznie — koncepcje nowych przedsięwzięć i decyzje personalne. Znając ich kierunek nie podzielałem niepokoju anonimowych korespondentów.

Aliście czas płynął, a pewien istotny szczegół umykał nam z pola widzenia. Powiem wprost: **wciąż nie umiemy w dostatecznym stopniu transmitować do opinii publicznej prawdy o funkcjonowaniu władz.** Wciąż w niedostatecznym stopniu informujemy społeczeństwo o swej pracy. Nie jest ona jeszcze doskonała, bywa, że nadal się spóźniamy, ale o niejednym można by już rozmawiać bardziej otwarcie. Tymczasem — choć czasu nie marnowano, choć w gronie aktywu to i owo rozliczono — jakiś opór wewnętrzny ciąży na nas jeszcze nadal: jest to po troszę zaskoczenie się, po troszę lęk, czy należy o wszystkim mówić, a nade wszystko chęć takiego dopracowania decyzji i programów, by nie budziły już żadnych kontrowersji.

Chwalebna ostrożność — zwłaszcza kiedy idzie o sprawiedliwe oceny ludzi — obraca się jednak przeciwko nam. Z boku wygląda na to, że jesteśmy sknerami w dozowaniu informacji.

Niektórych działaczy podejrzewam zresztą, iż robią to świadomie. Przesiąkli obyczajem przemilczania, brudy pragną prać w czterech ścianach swych gabinetów. Inni dojrzewają do wymogów nowego czasu i nie dzielą już ludzi na równych i równiejszych, zasługujących na zaufanie i nie zasługujących. Przyszłość — jak sądzę — należy do nich właśnie.

Po to, żeby obywatele zechcieli aktywnie uczestniczyć we wspólnej robocie, muszą poczuć się partnerami informowanymi nie tylko o gotowych planach, lecz także o rozterkach, komplikacjach i kontrowersjach towarzyszących dojrzewaniu owych planów i decyzji.

Nie będzie pełniejszej demokracji bez szerszej informacji. Nie ustaną podejrzenia, że odnowa do nas nie dotarła, jeśli — robiąc najsłuszniejsze nawet rzeczy — nie będziemy o nich możliwie jasno, w porę i uczciwie mówić. Jest to kamyczek, który wrzucam także do własnego ogródka. Ale nie wyłącznie! Prawdą jest przecież, że w ostatnich miesiącach dziennikarze zbyt rzadko proszeni są na posiedzenia kolektywów rozpatrujących najbardziej newralgiczne tematy. Dzieje się to w regionie, który nigdy przedtem nie skąpił dostępu do źródeł informacji!

Umawiamy się, że z początkiem stycznia spróbujemy rozszerzyć informację o działaniach partii w regionie. Już teraz zwracam się do organizacji i instancji podstawowych, które są zaawansowane w dyskusji przedzjazdowej o zgłaszanie ewentualnej gotowości podzielenia się z nami swoimi refleksjami i przemyśleniami. Miejsce w „Dunajcu" na ten cel się znajdzie, a czytelnicy na pewno z zainteresowaniem przyjmą ów dialog o rzeczywistej sytuacji w partii. Myślę, że będzie to istotny czynnik weryfikujący podejrzenie, iż odnowa w teren nie dotarła. A jeśli naprawdę nie dotarła, to przynajmniej ustalimy hamulce, które ją blokują.

CZWARTEK: *Sensacja!* — krzyczy w samo południe Jan Ciszewski. — *Strzelcem bramki roku został polski piłkarz! Niesamowite proszę państwa!*

— Sam Pan jesteś niesamowity, Panie Ciszewski. I brzydko się Pan bawisz z dzieciarnią sproszoną przed kamery telewizji! Dziatwa obejrzała cztery bramki zagraniczne i jedną krajową, następnie kazano jej klaskać. Jest to nowa forma konsultacji: siła oklasków zamiast dyskusji. Ten niby plebiscyt to szczyt megalomanii. Przecież piłkarz „Arki" strzelił zupełnie przeciętnego gola! Ciekawsze zdobywali Surlit, Smolarek, Boniek, Iwan oraz kilka setek zagranicznych futbolistów. Ale jak się dobrze pomanipuluje opinią maluchów to można mianować snajperem roku nawet człowieka z Gdyni.

Pozostaje nadzieja, że nikt z telewidzów znających się na piłce i tak wiary Ciszewskiemu nie da. Tylko dlaczego te chore pomysły znajdują drogę na antenę? Niesamowita jest siła trwania entuzjastów pozornego sukcesu oraz ich bezkarność we wciskaniu nam ciemnoty. Numer roku!

PIĄTEK: Wszystko nagle zblakło. Sterylna jak lancet wiadomość, że nie odzyskawszy przytomności zmarł mój przyjaciel. Każdego dnia ktoś odchodzi. Każdego z nas to czeka. A jednak kiedy się to zdarzy w bliskości, nie ma mowy o pogodzeniu się, o dystansie. Może wierzącym łatwiej przyjąć taki cios... Mnie ani pisać się nie chce, ani cokolwiek robić. Nokaut.

CZWARTEK: Zabijanie czasu lekturą, odpędzanie myśli o bezsensie, próba sklecenia wspomnienia pośmiertnego. Jakże puste okazują się słowa, gdy chcesz w nich zawrzeć prawdę o żywym człowieku, który żyć przestał. Pierwszy dzień nowego roku, ludzie składają sobie życzenia. Do nikogo nie dzwonię. Trzeba czasu, żeby się zebrać w garść.

NIEDZIELA: Ważny tekst profesora Jana Szczepańskiego w „Polityce" Szukając dróg rozumnego wyjścia z kryzysu ten wybitny uczony kieruje naszą myśl — między innymi — ku następującym kwestiom:

- Dla przywrócenia jedności partii trzeba stworzyć mechanizmy politycznego kierowania społeczeństwem, szybko dobrać kadry kierownicze umiejące sprawować władzę metodami politycznymi, umiejące rozmawiać z ludźmi i rozwiązywać ich sprawy.

- Trzeba opracować zasady funkcjonowania społeczeństwa socjalistycznego z wielością działających sił, w których przewodnia rola partii będzie polegała na inspiracji i określaniu kierunków rozwoju, a nie wydawaniu bezpośrednich poleceń.

- Trzeba opracować zasady planowania i zarządzania gospodarką w sposób rozsądny, sprawny i efektywny. Uwolnić przepisy regulujące gospodarkę od nonsensów i idiotyzmów dostatecznie jaskrawo obnażonych przez telewizję, prasę i radio.

- Trzeba odtworzyć wolę pracy, organizację pracy, moralność i kulturę pracy, nadwątlone nonsensami planowania i kierowania w latach siedemdziesiątych oraz tendencjami anarchicznymi w okresie emocjonalnej „lewitacji" narodu. Formułując swoje rewindykacje ekonomiczne i socjalne polski świat pracy ustalił sobie także zadania, gdyż jest rzeczą oczywistą, że spełnienie tych rewindykacji mogą przynieść tylko rezultaty pracy w całej gospodarce narodowej.

- Trzeba stworzyć gwarancje prawne dla zdobyczy ruchu z roku 80, co wymagać będzie intensywnej pracy od Sejmu i wszystkich instytucji z nim współpracujących. To wszystko, co jest sensowne w tych setkach lub tysiącach postulatów, żądań, propozycji, sugestii, memoriałów, petycji, listów otwartych, porozumień itp., jeżeli ma zachować trwałość w funkcjonowaniu państwa, musi znaleźć wyraz prawny.

- Trzeba rozpocząć proces kształcenia i wychowania całego narodu w działaniu i postępowaniu demokratycznym, które nie jest ani złotą wolnością szlachecką, ani liberum veto, ani formalizmem noszącym czasem cechy śmieszności, ale jest przede wszystkim wolą posłuchu dla ustanowionego prawa, poszanowaniem woli większości w życiu publicznym, dyscypliną wobec wybranych kierowników itp.

•

Partia i rząd prowadziły politykę w warunkach dla nich optymalnie niekorzystnych, ale zarazem nie dopuściły ani do przelewu krwi, ani do podważenia zewnętrznych interesów Polski, ani do podważenia istotnych wartości ustroju. Zapomnieli o tym ludzie nie mający doświadczenia w określaniu siły państwa i sądzili że w Polsce dokonuje się rewolucja prowadząca do zniszczenia ustroju. Działanie powolne, wytrzymywanie sytuacji, unikanie pośpiechu, doprowadzenie różnych tendencji do ich końca, zachowanie spokoju w obliczu histerii podnoszonej w świecie wobec możliwości interwencji sąsiadów — jest też przejawem siły, która woli się powstrzymać od działania tam, gdzie rezultat jest niepewny. W końcu bowiem koło ludzi spokojnych i opanowanych zaczną się skupiać ci wszyscy, którzy szukają spokoju i pewności.

Program natychmiastowy usprawnienia gospodarki musi być wprowadzony z początkiem nowego roku budżetowego, program podniesienia efektywności rolnictwa jest drugą pilną koniecznością. Program mobilizacji sił przez zniesienie krępujących więzów administracyjnych jest również warunkiem wyjścia z kryzysu. Nadszedł czas wypisania ministrów i wiceministrów ze straży pożarnej. Do zajmowania się związkami jest osobny minister. Do załatwiania roszczeń pracowniczych są dyrekcje zakładów lub instytucje arbitrażowe. Nie trzeba zwoływać konferencji do dzielenia, bo nie ma już nic do dzielenia. Wola narodu została zamanifestowana w sposób zrozumiały dla wszystkich — naród określił granice stanu społeczeństwa, w którym chce żyć. W tych granicach nie ma podziału na „oni" i „my". Nie „oni" stworzą te warunki lecz „my" wraz z nimi.

Wszystkie klasy i warstwy społeczne, partia, stronnictwa, wszystkie siły państwa, Kościół, związki zawodowe wszelkich rodzajów, wszyscy pracownicy gospodarki narodowej, gospodynie domowe, twórcy — słowem wszyscy zrozumieli lekcję i zdali egzamin dojrzałości. Niech nie zapomną zanim pieczątka na ich świadectwie dojrzałości wypłowieje.

ZAPROSILI NAS...

...Dyrekcja i młodzież Liceum Ogólnokształcącego w Krynicy na Sesję z okazji 150 rocznicy Powstania Listopadowego.

● Miejska Biblioteka Publiczna, Koło Przyjaciół Biblioteki w Bochni na wieczór ku czci Jana Wiktora

● Wojewódzki Związek Kółek Rolniczych w Nowym Sączu, Wojewódzki Związek Pszczelarzy na walne zebranie delegatów

● Stronnictwo Demokratyczne Miejski Komitet w Nowym Sączu na III Miejski Zjazd Delegatów

● Zbiorcza Szkoła Gminna w Białym Dunajcu na Koncert Laureatów Młodych Recytatorów i Gawędziarzy im. A. Skupnia-Florka

● Zarząd Wojewódzki Polskiego Czerwonego Krzyża w Nowym Sączu na spotkanie honorowych dawców krwi

● Zarząd Wojewódzki Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Nowym Sączu na Plenarne Posiedzenie Zarządu

● Związek Polskich Artystów Plastyków, Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu na otwarcie XXXVI dorocznej Wystawy Oddziału ZPAP

● Zarząd Wojewódzki Frontu Jedności Narodu w Nowym Sączu na Plenarne Posiedzenie Zarządu

Koleżance

Halinie Wróblewskiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Ojca składa zespół redakcji „Dunajca".

POLSKIE NADZIEJE 1981

ANDRZEJ BACHLEDA-CURUŚ

Jeśli mogę coś powiedzieć od serca — to chciałbym odwołać się do naszych starych słów: aby Polak Polakowi był bratem. Tamto znane motto musi być teraz szczególnie brane pod uwagę; w przeciwnym wypadku czeka nas klęska. Jest ono zresztą ważne zawsze. Przeżyłem już chyba swoje największe osiągnięcia, swój sukces życiowy, więc choć jeszcze jestem młody, doświadczyłem, co ten sukces ze sobą niesie — i myślę, że moje doświadczenia można przenieść na inne dziedziny życia. Otóż wszelka zazdrość i zawiść nie da nam najmniejszych szans na wydźwignięcie się do roli narodu, który może się szczycić swoimi dokonaniami, do rangi kraju, w którym można żyć porządnie i dobrze. Polak powinien się cieszyć sukcesem drugiego Polaka. Jeśli rodak osiągnie coś w sferze materialnej czy duchowej, to ja przecież także na tym skorzystam, bo jestem w pobliżu. Mam nadzieję, że jeszcze dożyję tych czasów, gdy takie postawy będą u nas powszechne. Także tu, gdzie mieszkam.

MIECZYSŁAW CZUMA

W rok 1981 wstępuję z nadzieją. Wierzę, iż w najbliższych trudnych miesiącach uda się nam jeszcze bardziej wzmocnić jedność narodu.

Nadzieję budzi nie tylko szerokie urzeczywistnianie demokracji w naszym życiu zbiorowym. Nadzieję stwarza także odbudowywanie godności wszystkich jednostek i całego narodu.

Czy jestem optymistą? Tak, gorącym. Czy ktokolwiek z nas może sobie pozwalić na to, aby nim nie być?

JAN DOBRACZYŃSKI

Nadzieje na rok 1981 są i małe, i duże. Małe, gdyż nie możemy się łudzić, że skutki trwającego kryzysu, jaki przeżywamy, pozostawią nas bez kłopotów. Mamy przed sobą nie rok, ale LATA, w ciągu których trzeba będzie zacisnąć pasa. Ale nadzieje są także duże, gdyż wierzę, że duch odnowy moralnej będzie się rozszerzał; że będzie się umacniała atmosfera uczciwości i rzetelnej pracy.

Dla mnie — jako pisarza — wielką troską jest sprawa trudności wydawniczych. Tutaj nie mogę oczekiwać zbyt wiele. Nie wygląda na to, aby już w najbliższym czasie poprawił się żałośnie niski bilans braku książki; jej wielki głód. Żywię jednak nadzieję, że już w roku 1981 zarysują się warunki poprawy na lata następne, a najważniejsze — że twórcy, wykorzystując ostatnie doświadczenia, podejmować będą tematy, związane z walką o postawę moralną w człowieku.

BOLESŁAW FARON

Pytanie o nadzieje jest w tym roku — jak nigdy — pytaniem bardzo głębokim i ważnym. Dawno bowiem na przełomie roku nie mieliśmy tak rozbudzonych oczekiwań na to, co dobrego przyniesie przyszłość. Proces społeczny, który rozwinął się od lipca, daje Polsce szansę na stanie się jednym z najciekawszych krajów w środku Europy: na stanie się krajem socjalistycznym o daleko posuniętej demokracji; krajem, który daje możliwość rozwoju intelektualnego i emocjonalnego — możliwość stworzenia wartości autentycznych dla każdego obywatela. Jest to dla mnie jako dla humanisty, historyka literatury polskiej, największa zdobycz wywalczona przez robotników Wybrzeża — i nie tylko Wybrzeża: narodziła się szansa pogłębienia wartości humanistycznych.

Oczywiście nurtuje mnie pytanie o perspektywy sytuacji ekonomicznej; pytanie — kiedy wszyscy, niezależnie od pozycji społecznej i miejsca pracy, będziemy mogli w sposób demokratyczny czerpać z dóbr materialnych. Pytanie przede wszystkim o to, kiedy dóbr będzie tyle, aby podaż i popyt nie rozmijały się tak dramatycznie, jak choćby przed ostatnimi świętami. Kiedy w pełni da się zaspokoić elementarne potrzeby wszystkich obywateli, a w drugiej fazie — kiedy nasz kraj będzie miał szansę autentycznego skoku technicznego i cywilizacyjnego. Kiedy wszyscy — chłop, robotnik, inteligent i intelektualista — będą mogli korzystać z dobrodziejstw techniki w takim stopniu, jak Stany Zjednoczone czy Japonia, a z bliższych nam — Szwecja czy Szwajcaria. Marzę, że stanie się to szybko: to jest moja nadzieja noworoczna.

Z pewnością byłbym naiwnym optymistą, gdybym uważał, że procesy społeczne i ekonomiczne, które tak gwałtownie się rozwinęły, przebiegać będą błyskawicznie i płynnie niczym za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, niczym w szopce betlejemskiej albo w dramatach antycznych. Przed nami jest ciężka praca i wiele zjawisk negatywnych: niektórzy muszą się rozczarować, a większość musi się uczyć stąpania w nowych warunkach. Zdobycie sztuki chodzenia będzie trudne i dla władz, i dla tych, którzy będą kontrolować, którzy będą pomagać władzy przez patrzenie na ręce. Znacznie łatwiej jest dokonać reorganizacji w strukturach administracyjnych, a nawet ekonomicznych, niż dokonać przekształceń myślenia, zmian w psychice.

Co do mojej sfery działalności, to jak wiadomo, minister ogłosił niedawno odwrót od strukturalnej reformy systemu edukacji narodowej i skupienie się raczej na reformie programowej, treściowej. Myślę, że jest to dobra decyzja: taki jest też pogląd pracowników naszej uczelni. Trzeba się wycofać z niedopracowanej koncepcji dziesięciolatki — zwłaszcza dlatego, że nie było dla niej należytego zaplecza materialnego w postaci inwestycji i odpowiednich pomocy dydaktycznych. Byłoby jednak ogromnym błędem, gdybyśmy się do reformy odwrócili tyłem; moja nadzieja na przyszły rok, że tak się nie stanie. Reforma programowa jest konieczna — i to reforma nieustająca. Życie biegnie tak szybko, technika postępuje naprzód tak gwałtownie, że musimy zmianom dotrzymać kroku. Wymaga to stałego przygotowania intelektualnego, wymaga NAUCZYCIELI O OTWARTEJ OSOBOWOŚCI: AUTONOMICZNYCH, CHŁONNYCH I UMIEJĄCYCH SELEKCJONOWAĆ WARTOŚCI. To oczywiście ideał — ale mówię o nadziejach. Musimy więc do niego dążyć.

JULIAN KAWALEC

Moje nadzieje wiążą się z odrodzeniem moralnym: wszystko opieram na tym czynniku, ponieważ przyczyną niepowodzeń, załamań, ruiny ekonomicznej kraju jest destrukcja etyczna. Odrodzenie nastąpić może tylko wówczas, gdy będziemy sobie mówić prawdę, gdy będziemy AUTENTYCZNI I SZCZERZY. Ostatnio odczuwaliśmy straszliwy brak porozumienia między społeczeństwem i kierownictwem, między władzą a wsią. Wartości były lekceważone i deptane pod hasłami świetlanej przyszłości: doprowadziło to do zerwania więzi społecznych i do niesłychanego marnotrawstwa. Wskutek lekkomyślności i głupoty wrzucało się wszystko w błoto — a co najbardziej mnie boli, RZUCAŁO SIĘ W BŁOTO CHLEB. Wieś to widziała. Odczuwała brak styku z władzą. Teraz widzi nadzieję w ruchu społecznym; może wnieść do niego olbrzymie rezerwy moralne, które tkwią w jej środowisku.

Trzeba ponownie WYPISAĆ NA SZTANDARZE STARE WARTOŚCI, które wypracowane zostały przez nasz naród. Trzeba przywrócić SZACUNEK DO PRACY, miłość do niej, uczuciowy stosunek do wartości dobrze wykonanego dzieła. Przecież niegdyś dobre zaoranie pola było przeżyciem; istniało poczucie, że przez piękne wykonanie pracy człowiek cię USZLACHETNIA. Mam nadzieję, że wskrzesimy to poczucie. Że nastąpi odrodzenie etyczne; tylko na gruncie mocnej etyki może istnieć rzetelne prawo, dobry stosunek człowieka do człowieka; tylko wtedy będziemy mieć hamulce wobec kuszącego nas zła. Przeżywałem i przeżywam głęboko to, co się stało. Doznałem głębokiego rozgoryczenia. Teraz wierzę, że stać nas na odrodzenie moralne — nadzieję nas wszystkich.

STANISŁAW MARUSARZ

Nadzieje na najbliższy rok... Myślę, że najważniejsze dla nas będzie, aby dopisała pogoda. Aby nie było kataklizmów, śnieżyc, powodzi, ulew — i abyśmy się doczekali dobrych plonów. Wtedy będzie dużo łatwiej doprowadzić do sprawiedliwego podziału naszego wspólnego dobra tak, aby każdy obywatel był zadowolony, aby zgoda narodowa była już trwała. Bo z próżnego najmądrzejszy nie stworzy...

Mam też nadzieję, że uzdrowimy sport. Że zrozumiane będzie, jak ważne jest mieć zdrowy naród. Mamy na przykład doskonałe urządzenia do wyczynu narciarskiego, na poziomie naprawdę światowym; tylko że wielu spoczywa na laurach, jak się już na ten wyższy poziom dostanie. Głaska się ich i wierzy, że ma kto zrobić wynik —a tymczasem za mało jest pracy, wytrwałej pracy. Przypomnijmy sobie, że TYLKO UPARTA PRACA POZWALA NA SUKCES! Za mało jest szerokiego szkolenia, za mało imprez naprawdę masowych, za szczupła kadra. Nie wykorzystujemy tego, co posiadamy. Jeśli porównać nas z NRD, to widać przepaść. Tam sale gimnastyczne — zresztą o wiele liczniejsze — wykorzystane są nawet przez szesnaście godzin na dobę; a w tych salach ćwiczy młodzież, która kocha sport, wierzy, że sprawnym i zdrowym lepiej się żyje. Słusznie wierzy. Bo tak jest rzeczywiście. A poza tym — zdrowie i sprawność dają także odwagę, zaś śmiałym szczęście sprzyja. Czy nam brak śmiałości? Nie, przecież to jest silna polska cecha. Trzeba ją więc tylko wytrwale uzupełnić pracą — a możemy dojść do wielkich osiągnięć. Tego wszystkim życzę. Zdrowia i szczęścia dla całego narodu.

JACEK MAZIARSKI

Sądzę, że nasze położenie ekonomiczne stanie się w najbliższej przyszłości jeszcze trudniejsze niż jesienią roku 1980, kiedy to staraliśmy się łagodzić napięcie „zajadając" niejako, to, czego będziemy potrzebować jutro. Koszty owych wymuszanych przez twardą konieczność decyzji przypomną o sobie w postaci spadku pogłowia bydła i trzody, w zmniejszaniu mocy budownictwa (zatrzymaliśmy przecież trzy czwarte wszystkich pieców w cementowniach), w spadku produkcji przemysłowej.

Utrzymywanie się kryzysowej sytuacji jest jednak dla mnie — zdaję sobie sprawę z tego, że brzmi to jak paradoks — jedną z przesłanek optymizmu. Po prostu kryzys będzie wymuszał głębokie strukturalne zmiany w sferze polityki i gospodarki. Ciśnienie potrzeb nie pozwoli tym razem popuścić — a tak przecież bywało nieraz w przeszłości — na pozorowanych, kosmetycznych korektach.

Sądzę, że będzie trwał nadal proces odbudowy więzi społecznych. Będzie formowała się i dochodziła do głosu kadra ludzi nie obciążonych balastem nawyków i uprzedzeń, zdolnych do nowego spojrzenia na potrzeby społeczne i rzeczywiste możliwości gospodarki. Będzie stopniowo zmieniał się styl zarządzania, uprawiania polityki, uzgadniania różnic interesów poszczególnych grup społecznych. W miarę upływu tygodni i miesięcy maleć będzie strach przed zmianami, stanowiący — moim zdaniem — główną przeszkodę w sformułowaniu takiego programu wyjścia, który mógłby liczyć na społeczną akceptację. Myślę, że w roku 1981 odbijemy się od dna i dokonamy wyboru drogi rozwoju, która będzie lepiej odpowiadała naszej tradycji, specyficznym polskim warunkom demograficznym, własnościowym i innym, naszej zbiorowej mentalności i społecznym wyobrażeniom o porządnej gospodarce. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że istnieją też inne, katastroficzne wyobrażenia o przyszłości. W moim odczuciu bardziej prawdopodobna jest optymistyczna prognoza, zakładająca wyjście na prostą i stopniowe osiąganie jakościowo nowej fazy rozwoju. Zakładam, że zarówno w kraju, jak i poza jego granicami przeważa świadomość, że konfliktowe rozwiązanie polskich problemów stwarzałoby niewyobrażalne ryzyko.

DANUTA SZAFLARSKA

Nowy Rok 1981 z pewnością jest przez Polaków witany tak, jak żaden od długiego, długiego czasu. To niewątpliwie, że życie codzienne jest teraz bardziej uciążliwe; ważne, że ludzi ożywia nowy duch. Wszystko można przetrzymać wiedząc, że zachodzą zmiany na lepsze, że oddycha się pełną piersią. Na progu takiego nowego roku można już nie tylko mówić o nadziejach; można myśleć realnie o spełnieniu marzeń. Dla mnie Polska marzeń jest po pierwsze krajem niezależnym i samorządnym; po drugie — krajem bez kłamstw; po trzecie — krajem, gdzie przestrzega się deklaracji praw człowieka i obywatela. A z tych trzech marzeń wynika — musi wynikać — czwarte: POLSKA LUDZI UŚMIECHNIĘTYCH I WYPROSTOWANYCH.

JAN SZCZEPAŃSKI

Jeśli nam się uda — w przeciągu dwóch lat staniemy na nogach. Ufam, że tak się stanie; że utrzymamy tę zgodę narodową, której symbolem było odsłonięcie 16 grudnia pomnika w Gdańsku; że znajdziemy wyjście z kryzysu. Mam nadzieję, że Partia odnajdzie swą jedność, a rząd uporządkuje gospodarkę, znajdując rozumny sposób zarządzania i kierowania. Wierzę, że społeczeństwo wróci do normalnej pracy i będzie gotowe ponieść KONIECZNE OFIARY dla wyjścia z kryzysu gospodarczego, zaś szkoły wyższe i cała nauka odegrają swoją pozytywną rolę w dyskusji, która się owocnie rozwinęła; że pomogą przy rozwiązywaniu problemów, które przyniósł rok 1980.

MACIEJ SZUMOWSKI

Nadzieja w tym, że Partia zrezygnuje z funkcji strażnika społecznego i politycznego, a potraktuje serio swoją przewodnią rolę w kraju — we wszystkich dziedzinach życia, przede wszystkim zaś w kulturze, co zresztą jest najłatwiejsze do zrobienia. Dobrze pojęty mecenat państwowy nad artystą i twórcą wymaga rezygnacji z nachalnego programowania marzeń artystycznych. Przecież takie programowanie samo w sobie jest absurdem.

Realizacja partnerskiej roli przewodniej polega na dopuszczaniu do dyskusji wszystkich, którzy naprawdę mają coś do powiedzenia. Jest to kwestia należycie pojętego życia publicznego i odnosi się, oczywiście, nie tylko do kultury. Chodzi o obywatelską dyskusję także w nauce i gospodarce — dyskusję, która opiera się na wielości poglądów i postaw, pluralizmie myślenia. Właśnie ten PLURALIZM POSŁUŻY JEDNOŚCI PARTII, która nie będzie jednością prostacką, jednością na siłę — wbrew naturalnym różnicom. Aby tę rolę Partia spełniała, aby z różnic umiała robić kapitał, jej ludzie muszą być AUTENTYCZNYMI liderami w swoich środowiskach. Muszą mieć naturalny autorytet. Jeśli w Partii nastąpią te zmiany, przyszłość przed nami. Jeśli to się stanie, nadzieje na przyszłą Polskę są realne.

KRZYSZTOF ZANUSSI

Powiem bardzo ogólnie, ponieważ doprawdy brak mi koncepcji na bardziej kierunkowe rozważania; jestem ogromnie zaabsorbowany pracą (zdjęcia do filmowej biografii Karola Wojtyły — „Z dalekiego kraju" — które potrwają jeszcze w Krakowie przez kilka tygodni). Moją nadzieją byłoby utrzymanie odnowy: to, żebyśmy nie wrócili do starego, aby wiele nie zmieniło się na gorsze. Niestety, nie jestem optymistą i obserwuję pewne oznaki natrzymania się procesu postępu chociażby w dziedzinie, którą bezpośrednio się zajmuję. To nie są to zmiany, które byłyby naprawdę potrzebne.

Wypowiedzi zebrał: **ADAM GARBICZ**

TRYBUNA

Coraz pełniej życie województwa odbija się w listach, jakie przychodzą pod nasz adres. Zaczęło się od korespondencji pisanych przez ludzi biegłych w piórze. Kilkuosobowy zespół redagujący „Dunajec" początkowo otrzymywał wsparcie tylko od **Tadeusza Staicha, Józefa Bieńka, Michała Słowika-Dzwona, Jerzego Masiora, Andrzeja Jazowskiego, Antoniego Sitka, Ireny Styczyńskiej, Franciszka Łojasa-Kośli, Piotra Nowaka, Wacława Raczkowskiego, Zygmunta Błaszaka.** Zdjęcia nadsyłali — **Władysław Werner, Mieczysław Staszewski, Jerzy Żak, Adam Grawicz.**

Dzięki tej pomocy wypełniły się redakcyjne teczki, powoli stawaliśmy na nogi. Dziś listy przychodzą każdego dnia i trzeba je skracać, by jak najwięcej zmieściło się w numerze. Przeznaczamy na nie już dwie kolumny, a mimo to jedynie część trafia do druku. Zastanawiamy się więc, czy nie rozszerzyć jeszcze bardziej „Trybuny Czytelników"; i pewnie to zrobimy, gdyż owe sygnały nadchodzące z różnych zakątków regionu świadczą o społecznej potrzebie wymiany myśli, o gotowości wielu ludzi do współkształtowania rzeczywistości.

Miło nam, że tak szybko przełamane zostały lody; że nowa redakcja znajduje życzliwych partnerów we wszystkich środowiskach. Może kryzys zaufania nie jest aż tak głęboki, jak się wydawało kilka miesięcy temu?

Poza wymaganiami oczywistymi — by list był podpisany i zawierał uczciwie zebrane obserwacje — o jedno tylko prosimy: o zwięzłość. Bowiem pragniemy jak najwięcej wypowiedzi zmieścić w każdym numerze.

LIST Z MOSZCZENICY

Nie zgadzamy się ze stwierdzeniem Naczelnika, że *„młodzież z Moszczenicy nie miała i nie ma trudności w korzystaniu ze świetlicy wiejskiej"*. Osoby posiadające klucze do świetlicy były i są zorientowane co do terminów odbywania prób zespołu regionalnego, a mimo to możemy przytoczyć co najmniej sześć przypadków, w których staliśmy przed budynkiem w oczekiwaniu na klucz. Kiedy wyczerpaliśmy wszystkie możliwości jego uzyskania, rozchodziliśmy się do domów. Fakty te może potwierdzić Ob. Tadeusz Pater — instruktor GOK-u, prowadzący próby z naszym zespołem.

Nieprecyzyjne jest również stwierdzenie dotyczące *nieprzestrzegania przez młodzież porządku oraz zabezpieczania budynku i sprzętu muzycznego przed zniszczeniem*. Wyjaśniamy, że w roku ubiegłym, w świetlicy prowadzono szkolenia rolnicze. W tym właśnie okresie zniszczono nam stroje (m. in. spódnicami ścierano podłogi) i przecięto struny kontrabasu. Trudno chyba posądzać o to członków zespołu!

Krzywdzące jest wreszcie stwierdzenie, że prace remontowe *„spoczęły prawie wyłącznie na Urzędzie Gminy"* oraz, że remont obiektu przeciągał się m. in. *„z uwagi na małe zainteresowanie społeczeństwa, w tym młodzieży"*. Młodzież dokonała rozbiórki dwóch pieców kaflowych, wykonano podsypkę pod płytę betonową, wypełniając przestrzeń 90 m² na głębokość ok. 100 cm, uprzątnięto obejście wokół klubu po składowanych materiałach budowlanych, wykonano wszelkie prace porządkowe po remoncie oraz ułożono wykładzinę PCW. Koło ZSMP w Moszczenicy kilkakrotnie zwracało się o pomoc i wsparcie do tow. Stanisława Będucha — I sekretarza KG PZPR w Gorlicach; sprawę podnoszono także na zebraniach wiejskich.

Dodatkowo informujemy, że z dniem 29 listopada ub. roku Klub Rolnika w Moszczenicy został uruchomiony, a zespół regionalny wznowił działalność.

Przewodnicząca Koła ZSMP
STANISŁAWA BALAKOWICZ

PROSZĘ O INTERWENCJĘ

Wracając z pracy wstąpiłem 26 listopada do restauracji „Pod Grodem" w Podegrodziu. Na przyjęcie zamówienia czekałem 27 minut. Następnie kwadrans upłynął, nim dostałem kolację i tyleż czasu — zanim doprosiłem się o rachunek.

W tym czasie z kuchni dobiegały wesołe śmiechy, a kelnerka obsłużyła cztery inne stoliki, oczywiście zamawiające wódkę. Wspomnę tylko, że zamówiona pieczeń zamieniła się w płucka.

Była już interwencja do Sanepidu, może teraz inna komórka nadrzędna wkroczy do akcji.

Nazwisko i adres znane redakcji

PKS WYJAŚNIA

Wasz czytelnik zarzuca sprzedaż „spod lady" biletów autobusowych na dworcu w Nowym Sączu w dniu 2 listopada. Po zbadaniu sprawy stwierdzamy, że zarzuty są niesprawiedliwe i krzywdzące personel kas. Przyznajemy jednak, iż kasjerki „Orbisu" przekroczyły swoje uprawnienia sprzedając większe ilości biletów niż to wynika z umowy o współpracy z PKS (27 biletów na jeden autobus).

W imieniu „Orbisu" uprzejmie Czytelnika przepraszamy.

inż. JAN ROSIEK
Dyrektor

Od redakcji: Cieszymy się, że dyr. Rosiek zechciał wnikliwie ustalić przyczynę braku biletów w kasach. Dzięki temu czytelnik wie przynajmniej, dlaczego stał w kolejce daremnie. Natomiast pragniemy zwrócić uwagę na jeszcze jeden list, w którym inny Czytelnik krytykował zachowanie rewizora w autobusie relacji Krynica—Nowy Sącz. W tej sprawie odpowiedzi udzielił zastępca dyrektora i nie ukrywamy, że podanie wyłącznie nazwiska rewizora nie satysfakcjonuje ani zainteresowanych pasażerów, ani redakcji. Prosimy zatem o jasną odpowiedź, równie wnikliwą jak dziś publikowana: czy rewizor zachował się właściwie?

ZNIECZULICA?

W grudniu zmarł mój ojciec, Stanisław Dybaś, który przez 45 lat był pracownikiem kopalnictwa naftowego w Gorlicach. Nie korzystał za życia z wczasów, sanatoriów i wycieczek. Ostatnio — już jako emeryt — przebywał w szpitalu i również o nic nie prosił. Natomiast przez 35 lat płacił składki Związku Zawodowego Górników. Pomyślałam więc, że po śmierci można poprosić o pomoc macierzystego przedsiębiorstwa. Udałam się do przewodniczącego Rady Zakładowej ob. Lachowskiego, któremu w mojej obecności dyr. Harmata polecił podstawić samochód pod dom żałoby. Po pewnym czasie przyszłam ponownie, aby się upewnić, że wszystko będzie załatwione.

Nie oczekiwałam niczego więcej: delegacji, wieńca...

Samochód w określonym terminie nie pojawił się. Mam więc żal do Rady Zakładowej za takie potraktowanie długoletniego pracownika i cichą nadzieję, że NSZZ „Solidarność" nie postawi robotnika samemu sobie.

MARIA WOŁYNIAK
Libusza 236

GŁOS Z KRYNICY

Kiedy na łamach „Dunajca" zadeklarowałem chęć współpracy z redakcją, spotkałem się z różnymi reakcjami. Jedni proponują poruszanie ich osobistych spraw. Jestem innego zdania: każdy powinien w sprawach osobistych występować sam. Spotkałem się również z opinią, że narażam się przez sam fakt współpracy z prasą. To budzi pewien niepokój: czyżby pisanie o dobrych czy też złych zjawiskach, jakimi żyje Krynica, było niemile widziane? Wreszcie dotarło do mnie zdanie, że jeśli pisać to po partyjnemu.

W tym miejscu nasuwa się jednak refleksja, że wielu członków partii zaprzestało ostatnio działalności. A podbudowa autorytetu partii jest nakazem chwili. Źle służą tej sprawie asekuranci nie zajmujący żadnego stanowiska wobec procesu odnowy, a także ci — dawniej aktywni i piastujący różne funkcje — którzy wygodnie czekają nie wiadomo na co jako bierni obserwatorzy.

Jeśli mam pisać „po partyjnemu", powinienem otrzymywać wsparcie od towarzyszy partyjnych, a także od innych ludzi poczuwających się do odpowiedzialności za dobro wspólne. Mam nadzieję, że czytelnicy „Dunajca" z terenu Krynicy dobrze zrozumieją moje intencje i pomogą mi spełniać społeczne zobowiązanie wobec redakcji.

STANISŁAW KOZAK
Krynica
ul. Rewolucji Październikowej 1/4

CHŁOPSKA PRAWDA

Były już różne mody na uzdrowienie rolnictwa. Dlaczego nie zdały egzaminu? Dlatego, ponieważ gospodarka na roli podlega prawom przyrody. Człowiek pokonuje kosmos, lecz nie daje rady deszczom, gradom, huraganom, powodziom, chorobom bydła i roślin, owadom.

W rolnictwie nie może być ośmiogodzinnego dnia pracy, wolnych sobót i wakacji. Żeby temu sprostać trzeba chłopskiego uporu i niczego nie wolno wmuszać na siłę. Ponadto trzeba udostępnić środki do produkcji. Ich bilans u rolnika indywidualnego jest stale ujemny. Zapyta ktoś, czym się go wyrównuje? Odpowiadam: — Zdrowiem!

Pisze się teraz o odnowie i przebudowie. Piękne słowa. Chcę tylko dodać, że nie wszystko należy robić jednakowo w całym kraju. Nowosądeckie leży w górach! Poszczególne role mną się ku wzniesieniom, są rozdrobnione. Pytam, czemu zaniechano komasacji czy scalania gruntów, np. w Bystrej Podhalańskiej?

Wspomnieć chcę także o złych dojazdach do pól i o fatalnym zaopatrzeniu wiejskich sklepów, np. w wędlinę. Indywidualni rolnicy tworzą samorzutnie zespoły do wykopków ziemniaków i młocki. Taka praca trwa do nocy. Trzeba podać podwieczorek. Wnioskuję, by w okresie żniw i wykopków rolnicy otrzymywali specjalne bony na wędliny. Jeżeli to nie nastąpi, rozszerzy się ubój i powstanie spekulacja ze szkodą dla rynku.

STANISŁAW HANUSIAK
Łętownia 94

NIEDBALE O GORLICACH

Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej wydał jesienią niewielki, pięknie ilustrowany, na dobrym kredowym kartonie folderek o Gorlicach. Rzecz bardzo potrzebna nie tylko turystom, ale i mieszkańcom miasta, których wielu napłynęło doń w ostatnich latach. Stąd nakład 20 tys. egzemplarzy nie na długo starczy. Ale może to i lepiej, bo folder w wielu miejscach raczej d e z i n f o r m u j e. Szczególnie w części historycznej sporo informacji jest nieprecyzyjnych, podanych nieściśle i niedbale.

Aby nie być gołosłownym przejdę do konkretów.

Początki Gorlic jako osady nie są znane z żadnych dokumentów, brak także wykopalisk archeologicznych z terenu samego miasta. Stwierdzenie w folderze, że osada ta *„powstała w zamierzchłych czasach"* sugeruje, że być może powstała ona w późnej starożytności lub co najmniej wczesnym średniowieczu, co jest zupełną fantazją. Żywszy ruch osadniczy rozpoczął się na tych terenach dopiero w późnym średniowieczu. Osada istniała, gdy lokowano miasto, ale chyba nie tak bardzo dawno. Sama nazwa miasta jest zapisana u Jana Długosza jako „Gardlicza" a nie „Gardliczy", a u Marcina Kromera — „Gorlica" lub „Gorlicza", ale nigdy „Gorliczy" jak podaje tekst folderu. Aby to sprawdzić nie trzeba sięgać do obu wymienionych autorów; wystarczy zaglądnąć do książki J. Baruta, S. Motyki, T. Ślawskiego, *Nad rzeką Ropą*, wydanej przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie w 1962 roku.

Karwacjan istotnie lokował Gorlice w połowie XIV wieku, ale data dokładna nie jest znana. Co prawda M. Kromer w swej pracy podaje rok 1355 jako datę założenia miasta, ale brak jakichkolwiek innych potwierdzeń tej daty. Stąd nie jest ona akceptowana przez historyków.

Pierwszy właściciel Gorlic był świeżo nobilitowanym mieszczaninem chyba istotnie obcego pochodzenia, ale czy francuskiego, czy raczej flandryjskiego, tego nie dociekano, Feliks Kiryk uważa, że imię jego brzmieć powinno Dziersław, a nie Dersław, do czego przychylić się i proponować należy.

Gorlice konkurowały z pobliskim Bieczem. To rzecz pewna i świadczą o tym księgi sądowe bieckie. Ale już sprawa Szymbarku nie jest taka prosta. Nieliczne wzmianki mówią o nim jako o mieście czy grodzie i być może jako taki był lokowany przez Gładyszów w połowie XIV w. Ale jest rzeczą pewną, że jako miasto (z rzemiosłem i handlem) się nie rozwinął i pozostał tylko zasobną wsią. A więc nie należy pisać, że konkurował z Gorlicami.

Gorlice były ważnym ośrodkiem ruchu kalwińskiego. Świadczy o tym odbyty tutaj w 1603 roku synod generalny kalwiński, nie wymieniony w folderze, oraz wymieniona dysputa (a nie spotkanie) między arianami a kalwinami przy udziale obserwatorów katolickich — odbyta w 1617 roku. Nie było to jednak aż tak wielkie wydarzenie w dziejach polskiej reformacji, by miało istotny wpływ na zaostrzenie się walki wyznaniowej i tak przecież bardzo ostrej wówczas w naszym kraju. Ot, po prostu epizod.

Na temat Ignacego Łukasiewicza i początków destylacji ropy naftowej pisałem już w „Dunajcu" (po artykule K. Dobosza *„Pasja jak płomień"*). Ale autorzy omawianego folderu „Dunajca" nie czytają, a jeśli to niedbale. Tak też przygotowali sam folder. Bo prze-

CZYTELNIKÓW

cież pierwszej destylacji ropy naftowej dokonał I. Łukasiewicz we Lwowie, nie w Gorlicach! Tam też zapalił po raz pierwszy lampę naftową (31 sierpnia 1853 roku). Do Gorlic przybył na przełomie 1853 i 1854 roku (dokładna data jest nieznana) i przebywał do 1857 roku, a nie 1858. By to sprawdzić wystarczyło sięgnąć do książki W. Roeskiego, *Ignacy Łukasiewicz. 1822-1882*. Warszawa 1962 lub popularnej pracy S. Brzozowskiego, *Ignacy Łukasiewicz*. Warszawa 1974.

Następny akapit folderu jest bardzo charakterystycznym dla całości przykładem informacji nieprecyzyjnych. Otóż w maju 1915 roku toczyła się w okolicach Gorlic wielka bitwa zwana *„bitwą pod Gorlicami"*, o czym mówią wszystkie podręczniki historii. Nie można jednak napisać, że *w 1915 roku Gorlice były miejscem wielu bitew i walk pozycyjnych, w wyniku których, Austriacy przerwali rosyjski front w Karpatach* — oraz że — *miasto dość znacznie ucierpiało*. To nieprawda. Miasto prawie doszczętnie zburzono. Nienaruszone budynki można było policzyć na palcach. Z tej bitwy zostało w powiecie gorlickim ponad 70 cmentarzy, a w samym mieście kilka. Dziś przetrwały tylko dwa. Sprostować trzeba, że większy nie leży na wzgórzu Magdalena, ale Korczak, zwanym także Wzgórzem Cmentarnym.

Z innych nieścisłości wymienię tylko następujące:

- Zakłady Aparatury Spawalniczej „Aspa" zmieniły nazwę na Polmo Artesan. Zakład w Gorlicach.
- Dom Wycieczkowy „Cicha" został zlikwidowany.
- Nr telefonu Terenowej Stacji Obsługi Samochodów w Zagórzanach koło Gorlic jest 224-39 a nie 11-89
- Kino w Domu Kultury „Górnik" (a nie „Glinik") już dawno nie istnieje.
- W Gorlicach działa Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Gorlickiej (nie Towarzystwo!) a jego numer telefonu (tak jak i Miejskiej Biblioteki Publicznej) to 219-62 a nie 203-62.

I jeszcze podpisy pod zdjęciami:

- „Ruiny zamku Karwacjanów w Gorlicach" — powinno być „Ruiny d w o r u..." Tak zresztą jest w tekście folderu.
- „Gorlice — stary pałac Długoszów". Pałac ten jest w Siarach, nie w Gorlicach (3 km od miasta) i nie jest taki znów stary, bo pochodzi z początku XX wieku.
- „Pomnik I. Łukasiewicza" — nie jest to pomnik I. Łukasiewicza, lecz fragment pomnika Tysiąclecia Państwa Polskiego (wymienionego zresztą w tekście folderu).

Na tym kończę wyszukiwanie błędów i nieścisłości. Niech Czytelnicy sami osądzą, czy folder służy informacji turystycznej, czy jest to raczej niedźwiedzia przysługa wyrządzona Gorlicom.

JANUSZ TOMALSKI
Gorlice

PAMIĘCI ROMANA SICHRAWY

Oglądając telewizję zwróciłem uwagę na wypowiedź pułkownika Janusza Przymanowskiego, że *„po 40 latach od kampanii wrześniowej należałoby wszystkich żołnierzy, którzy brali udział w walkach z najeźdźcą hitlerowskim w obronie Ojczyzny — w jakiś sposób uhonorować — bo czas ucieka szybko i coraz mniej jest tych żołnierzy"*.

Myśl bardzo słuszna. Sądzę jednak, że nie tylko tych ludzi należy uhonorować. Żyje przecież w naszym społeczeństwie grupa ludzi, o których nikt nigdy nie wspomina, nikt ich nie zauważa. Myślę o zakładnikach, którzy przeżyli wojnę. Ich współtowarzysze spoczywają w mogiłach — pomnikach pamięci narodowej. Ci, co przeżyli pozostają w cieniu niepamięci. W naszym mieście i województwie niektórzy z nich jeszcze żyją, ale nie wiadomo, ilu. Warto by z nimi porozmawiać.

I jeszcze jedno: przed zajęciem przez okupanta Nowego Sącza, władze miejskie i powiatowe opuściły miasto, pozostał w nim jednak były prezydent, dr Roman Sichrawa.

Władze niemieckie zastały Ratusz zamknięty, więc wezwały do oddania kluczy. Dr Roman Sichrawa, który przyniósł te klucze, został wyznaczony tymczasowo do pełnienia obowiązków prezydenta, do chwili obsadzenia tego stanowiska przez hitlerowców. Trudne to były zadania dla dr Sichrawy. Okupant zażądał od niego, aby sporządził listę zakładników. Miasto Nowy Sącz było wszak miastem „karnym" i za najmniejsze przewinienie brano zakładników — ludzi znanych i szanowanych — i rozstrzeliwano bez pardonu.

Dr Roman Sichrawa bardzo się zaniepokoił: co zrobić? W żądanym terminie dostarczył listę, na której wypisane było tylko jedno nazwisko: jego własne. Złożył pod nim tyle podpisów, ilu okupant żądał zakładników.

Nawiązując do artykułu prof. Antoniego Sitka *„Jak uczcić 700-lecie Nowego Sącza"* chciałbym zaproponować, by w miejscu wybranym przez sądeczan umieścić tablicę pamiątkową z nazwiskiem dr Romana Sichrawy. Może by też zamieścić w tygodniku „Dunajec" artykuł o Doktorze?

ANTONI HANZEL

P.S. Dziękuję za umieszczenie w „Dunajcu" publikacji pt. *Marzenie Antoniego Henzla*, ale proszę uprzejmie o sprostowanie mojego nazwiska.

INFORMACJA KULTURALNA

Powinniście wprowadzić więcej informacji na temat życia kulturalnego w naszym województwie, a przynajmniej w jego stolicy. Nic nie piszecie na temat wystaw! O tym dowiadujemy się z innych dzienników, jak np. o wystawie dorobku prezesa ZPAP w Nowym Sączu, Krzysztofa Kulisia. Dlaczego nic o tym nie piszecie? Mamy w mieście kabarety; kto o nich wie? Co pewien czas zmienia się ekspozycja w BWA — myślę, że należałoby coś o tym wzmiankować.

ANNA HEBDA
Nowy Sącz

BAŁAGAN W OSIEDLU

Od czterech lat mieszkańcy osiedla Millenium w Nowym Sączu bezskutecznie domagają się uporządkowania sprawy parkowania samochodów. Spółdzielnia Mieszkaniowa ustawiła jedynie tablice ze znakami zakazu i na tym się skończyło.

Choć miejsc dla parkowania nie brakuje, właściciele samochodów ustawiają swoje pojazdy tuż przy blokach, uniemożliwiając dojazd karetkom pogotowia ratunkowego wąskimi drogami osiedlowymi. Niektórzy parkują nawet na trawnikach niszcząc prace wykonane społecznie bądź przez administrację.

Skoro nie pomagają tablice i pisma przesłane opornym, trzeba uruchomić — na koszt właścicieli — „pogotowie samochodowe", które wywiezie nieprawidłowo parkowane pojazdy z osiedla.

Opłaty powinny być na tyle wysokie, aby umożliwiły ponowne zagospodarowanie zniszczonych zieleńców.

mgr TADEUSZ KRAWCZYK
Nowy Sącz, ul. Reytana 14/71

ODPADY KUCHENNE I MAKULATURA

Proponuję, aby władze miejskie poleciły administracji budynków mieszkalnych rozmieszczenie na klatkach schodowych specjalnych pojemników na odpady żywnościowe. Natomiast do mieszkańców należy wystosować apel — może wspólnie z nowymi związkami zawodowymi? — by resztek jedzenia nie wyrzucali na śmietnik.

Sądzę, że na obrzeżach miast i w okolicznych wsiach nie braknie chętnych — na przykład hodowców królików, świń i drobiu — którzy zabiorą te odpady. Trzeba tylko przydzielić poszczególne bloki lub ulice konkretnym odbiorcom.

Do niedawna użytkowałem 20-arową działkę i wiem, że moja rodzina była niemal samowystarczalna, jeśli chodzi o mięso.

Druga sprawa: ostatnio kioski „Ruchu" zbierały — z mizernym efektem — makulaturę. Mój najbliższy kiosk zebrał półtora kilograma, z czego ja sam dałem połowę. Kilka dni później widziałem szczęśliwców nabywających rolki papieru toaletowego; dla mnie go zabrakło. Więc myślę, że trzeba powiązać te dwie sprawy. Proponuję mianowicie, żeby kioski raz w miesiącu w określonym dniu przyjmowały makulaturę i za oddane pół kilograma tejże sprzedawały np. trzy rolki papieru toaletowego. Nauczymy się wtedy oszczędzać, a fabryki odzyskają potrzebny surowiec.

Nazwisko i adres
znane redakcji

Z PISMA DO WOJEWODY

Informujemy, że Nowosądecki Kombinat Budowlany nie przestrzega terminów wykonywania robót na osiedlu Barskie II A. Po naszym piśmie skierowanym do dyr. NKB i wojewody w dniu 25 sierpnia ub. roku odbyła się narada, w czasie której NKB zobowiązał się wykonać roboty zewnętrzne do 15 listopada 1980 r.

Pomimo tych ustaleń nie zostały wykonane roboty zewnętrzne AZART, kanalizacja teletechniczna, drogi, chodniki oraz oświetlenie terenu.

Powoduje to rozgoryczenie mieszkańców, ich interwencje oraz krytyczne notatki prasowe. Zwracamy się więc z prośbą o skuteczną interwencję w przedmiotowej sprawie.

mgr HENRYK SKARKA
Przewodniczący Zarządu
Spółdzielni Mieszkaniowej

ODMIENIONY DURSZTYN

Jako mieszkaniec Spisza i pracownik nowotarskiego kombinatu obuwniczego pragnę w kilku słowach opowiedzieć o małej wiosce DURSZTYN. Jeszcze z lat szkolnych pamiętam, że były tu tylko 33 domy, a gospodarkę rolną ograniczała wyboista droga z Krempach. Ziemia nie dawała dostatecznych plonów, bo nawet nawozów sztucznych nie dało się dowieźć. Opuszczali więc ludzie swe domy i szukali pracy przy sianokosach i żniwach w okolicy Nowego Targu i Zakopanego. Natomiast kobiety szły jesienią do Nowego Targu i czekały koło magistratu aż jakiś gospodarz zatrudni je przy wykopkach ziemniaków.

Takie było życie górali spiskich za sanacji i w latach okupacji. Dopiero po wojnie ocknął się Dursztyn z letargu. Zbudowano szkołę, drogę asfaltową i podłączono wieś do komunikacji autobusowej. Młodzi i starzy poszli pracować do NZPS-u oraz do innych zakładów na Podhalu.

Dzisiaj Dursztyn liczy 80 numerów, jest zelektryfikowany, ma wodociąg, powstają nowe domy. Dzięki inicjatywie mieszkańców, sołtysa i władz urbarialnych zaczęły się i tutaj pozytywne przemiany społeczne.

JÓZEF MIRGA
Nowa Biała 155

ZAKOPIAŃSKIE DROBIAZGI

- Mieszkańcy Zakopanego z aplauzem przyjmują różne innowacje, takie jak np. uruchomienie nowych punktów oświetleniowych na ruchliwych odcinkach dróg. Niepokoją się natomiast wyłączaniem świateł na skrzyżowaniu ulicy Kościuszki i alei 1 Maja. Sezon zimowy rusza, więc pora zauważyć niebezpieczne przepychanki samochodów i pieszych w tym punkcie miasta!
- Od roku stoi nieczynny kiosk „Ruchu" na Bystrem. Przypuszczalnie miał zastąpić kiosk dotychczasowy, ale nikt się jakoś do tej zamiany nie kwapi. Podobnie jest na Jaszczurówce, gdzie od kilku miesięcy stoją dwa wolne kioski. Może trzeba je przekazać wioskom gminy tatrzańskiej, skoro w Zakopanem są niewykorzystane?
- Dlaczego podczas wyświetlania filmów w kinie „Watra" w Poroninie następują wielokrotne przerwy w projekcjach? Czyżby tutejsi operatorzy nie przejawiali troski o wcześniejsze sprawdzenie aparatury?
- Zupełnie zbędne — a nawet śmieszne — jest dzisiaj przyciąganie klienta do sklepu hasłami reklamowymi. A jednak społemowski sklep nr 1 sprawił sobie hasło *„Serdecznie witamy w naszym sklepie"*. Natomiast absurdem wyjątkowym jest napis: „Kawę zakupioną w naszym sklepie mieli my na żądanie konsumenta".

Kawy nie ma, młynek zepsuty, więc klient z wyobraźnią interpretuje wywieszkę następująco: **kawę mieli my**, znaczy widocznie, że kiedyś była, ale wyszła... Tylko ludzie bez wyobraźni podejrzewają wpadkę językową autora napisu.

- Wątpliwej jakości temperament okazał kierowca autobusu z numerem rejestracyjnym NSA 303 E odjeżdżający z zakopiańskiego dworca PKS w kierunku Łysej Polany w dniu 28 XI ub. roku o godz. 12.10, kiedy to stojąc w drzwiach i selekcjonując wchodzących, począł gromkim głosem wykrzykiwać na pasażerów usiłujących dostać się do wnętrza: — *Co myślicie, że to stodoła? Już mi stąd odejść, macie Bukowinę, Białkę, tymi sobie jedźcie! Nie pchać się, bo i tak puszczę tylko tych, co mają bilety kupione w kasie.* Na słuszną uwagę pasażerów, że t/a miejsc w autobusie jest wolnych — oburzony kontynuował dalej gromienie: — *No wiem, ile mam miejsc, nie wy jesteście od tego, aby mi je liczyć, poszli od drzwi i to już...*

Nie reagując na prośby osób, które zostały po drugiej stronie drzwi, w tym matek z dziećmi i pasażerów z biletami miesięcznymi, usiłował zamknąć autobus. Większość podenerwowanych pasażerów nie mogła powstrzymać się od komentarzy, więc kierowca raczył wyświadczyć łaskę wpuszczając jeszcze kilka osób, w tym matki z dziećmi. Jedna z niewpuszczonych, posiadająca bilet miesięczny zdecydowanie zaoponowała i mimo oporu kierowcy weszła do wnętrza. Wówczas pan i władca wpadł w złość: — *Jak się ma bilet miesięczny, to trzeba go podbić w kasie! — No co pani tak patrzy! Nie tacy mnie straszyli i nic mi nie zrobili!*

Czy kierownictwo PKS w Zakopanem nie dziwi się jednak takiemu postępowaniu swego pracownika? Dlaczego posiadacz biletu miesięcznego wracając z pracy do domu ma obowiązek bilet poświadczyć w kasie? W jakim celu należy to czynić? Dlaczego kierowca nie mający kompletu pasażerów w autobusie, utrudnia chętnym korzystanie z niego?

mgr MAGDA HALINA KRÓL
Poronin-Suche 13

Elżbieta Glinka

SZPITAL

Dzwonek budzika wyrywa mnie ze snu — już 5.20, trzeba wstawać! Pospiesznie przygotowuję się do wyjścia; sprawdzam zawartość torby: notes, wygodne pantofle, książka, długopisy, kawa. W porządku, mogę iść.

W grudniu o 6.30 jest zupełnie ciemno. Ulice Nowego Sącza puste, jak zwykle w niedzielę. Wreszcie — szpital. Tu już prostokąty okien żółkną na tle bryły gmachu. Popycham szklane drzwi.

Jest godzina 6.50. Najbliższą dobę, spędzę w tych murach, jak każdy z lekarzy pełniących normalny 24-godzinny dyżur.

— *Ewa Ziemborak i Leokadia Frączek, pielęgniarki, oraz Maria Pyszyńska salowa* — przedstawia mi pierwszą zmianę dyżurnych izby przyjęć chirurgii i ogólnej starsza pielęgniarka Halina Wolańska, która będzie mnie wprowadzać w sprawy szpitala. — *My zmieniamy się co osiem godzin* — dodaje.

Rozglądam się po izbie przyjęć: dwa pokoiki w amfiladzie, naprzeciw jeszcze jeden, gdzie przebywają ciężej chorzy pacjenci czekający na wyniki badań laboratoryjnych. Gabinet zabiegowy, nieduży korytarz, na którym nie ma nawet krzesła, niewielki hol, w którym chorzy i ich rodziny — niecierpliwi, często zbolali — oczekują werdyktu lekarza. Ani odrobiny wygody.

Przebieram się w płócienny garnitur; tylko w tym stroju będą mogła poruszać się po całym szpitalu.

W izbie przyjęć spokój. Umawiam się z panią Ewą, że da znać, gdy zgłosi się pierwszy pacjent, i idę z doktorem Aleksandrem Piwowarczykiem, ordynatorem oddziału chirurgii dziecięcej, do jego małych pacjentów. Staroświecka winda dychawicznie wwozi nas na najwyższą kondygnację. Po drodze dowiaduję się, że oddziału nie byłoby, gdyby nie... huragan, który przed paroma laty zerwał szpitalny dach i w ramach usuwania szkód dobudowano piętro. Teraz jest tu jasno, kolorowo, na ścianach krasnale, kwiaty wymalowane rękami pielęgniarek.

Przygotowana jestem na płacz — dzieci są cicho, tylko trochę niespokojnie rozglądają się za posiłkiem. Na widok pielęgniarek rozpromieniają się, a ten i ów malec czule obejmuje szyję doktora. Tylko moje okulary budzą nieufność. Jeden malec siedzi w rogu łóżeczka i chmurnie patrzy na wszystkich. To nowy, jest tu zaledwie od kilkunastu godzin.

W sali z trzema łóżeczkami pielęgniarka tuli kilkumiesięcznego malca. To jej dziecko, przywiozła je dziś z podejrzeniem wstrząsu mózgu. Matka niespokojnie ogląda się na lekarza.

— *Będzie dobrze* — uspokaja ją doktor Piwowarczyk.

W chwilę później zobaczę, że z równą troską przytuli ta kobieta innego malca.

Chirurgia dziecięca to przede wszystkim wyrostki, przepukliny, oparzenia; tych jest najwięcej przed świętami, kiedy matki mają co innego na głowie, niż pilnowanie dzieci. Są też i pacjenci z martwicą kości, z urazami po wypadkach, z wadami wrodzonymi, które usuwa się chirurgicznie. Zdumiewa mnie ich spokój, zaufanie do lekarza, do pielęgniarek. Wiara w wyzdrowienie.

Pediatria ogólna: różne schorzenia, ale najwięcej teraz zaburzeń dróg oddechowych i biegunek. Serce mi się ściska, gdy patrzę na niemowlęta, na dwu-trzylatki wymizerowane, otępiałe. Jak można do tego dopuścić?

— *Telefon!* — odwołują panią Halinę.

— *Jest pacjentka...*

Zbiegamy w dół. W drzwiach dyżurki niemal zderzamy się z wózkiem, na którym leży młoda kobieta. Zabrano ją wprost z kościoła, gdzie zemdlała. Wczoraj wyszła ze szpitala w Limanowej. Krwawi z dróg rodnych. Może być coś poważnego... Wiozą ją na ginekologię. Badanie — i na oddział, na obserwację.

Godzina 9.30. Chirurgia ogólna. Doktor Jerzy Jaroszewski odbywa wizyty, gdy nagle odwołują go do łóżka pacjenta po resekcji żołądka. Chory dusi się, ma zaburzenia rytmu tętna. Tlen, zastrzyk, kontrola sondy — cicho, ale spiesznie krzątają się przy nim lekarz i pielęgniarki. Po kilkunastu minutach ustępuje szarość twarzy, pacjent próbuje się uśmiechnąć. Już lepiej.

Godzina 10.50. Do izby przyjęć oddziału położniczego zgłasza się kobieta do porodu. Doktor Małgorzata Niemiec wyrokuje: — *Chyba niedługo będziemy mieć nowego obywatela.*

Wkładam kalosze, narzucam biały kitel, chciałabym towarzyszyć tej kobiecie. Teraz jednak nie wpuszczają mnie na salę porodową, bo jest sprzątana po krwotoku, jaki miała poprzednia położnica, przywieziona na sygnale karetką w ostatniej niemal chwili — ledwie odratowano dziecko...

Zanim zejdę na dół, rozglądam się przerażona. Ta część szpitala jest jeszcze przed remontem, więc do ciasnoty, jaka jest na wszystkich oddziałach, dochodzi odpadający tynk, wyszczerbione kafle podłogi, zacieki. Okropne wrażenie!

Przechodzimy do innych sal. Pogubiłabym się sama w tych zakamarkach, korytarzach, przejściach, różnicach poziomów. Trafiamy na ceremoniał oddawania młodemu ojcu żony z nowonarodzonym synkiem. Najdumniejsza chyba jest babcia!

Godzina 11.10. Po krętych schodach wchodzimy na laryngologię i chirurgię szczękową. Jak pielęgniarki dają sobie radę z przenoszeniem nieprzytomnych po zabiegach pacjentów z gabinetu zabiegowego na salę, z piętra na piętro?

Godzina 11.20. W izbie przyjęć normalna krzątanina, jakieś telefony. Przysiadam na moment, po raz pierwszy od czterech godzin, sięgam po kawę. Wypijam może ze cztery łyki, gdy rozlega się dzwonek telefonu.

— *Ginekologia. Pacjentka idzie na zabieg* — Halina Wolańska zastanawia się chwilę, dodaje: — *Pewnie ciąża pozamaciczna.*

Winda stoi. Za chwilę dowiem się, że dziewczyny z ginekologii musiały przenieść pacjentkę na blok operacyjny na rękach, po schodach. Jest 11.57. Doktor Anna Skrzypiec — anestezjolog i doktor Władysław Korona — ginekolog myją ręce.

— *Rękawice są?* — pyta pani doktor. — *Bo bardzo często po prostu brakuje* — wyjaśnia pod moim adresem. — *Najważniejszych leków także. Tej kobiecie nie damy dextranu, bo nie mamy. To środek krwiozastępczy, bardzo ważny w takich jak ta sytuacjach.*

Pacjentka — ta sama, którą niedawno widziałam w izbie przyjęć, usypia pod wpływem zastrzyku. Lekarz zakłada condę. Diagnoza potwierdza się. Będą operować.

Telefonujemy na położniczy. Tam jest już na świecie wspaniały chłopak. Gratulujemy matce.

Przy bloku operacyjnym jest sala intensywnej terapii — trzy łóżka, na których w przerażającym bezruchu leżą ludzie podłączeni do jakichś rurek, aparatów. Tu toczy się najbardziej zacięta walka o życie.

Jest godzina 12.50. Operacja trwa, a w izbie przyjęć pacjentka z pękniętą kostką. Towarzyszę jej do rentgena. Schodzimy do jedynej w województwie pracującej bez przerw pracowni rentgenologicznej. Pracowni? Te piwnice z grzybem na ścianach, bez wentylacji, obskurne — to jest pracownia? Suszarki do klisz jak za króla Ćwieczka, a i klisz często brakuje. I tak na dobrą sprawę należałoby to wszystko zamknąć!

Godzina 13.25. Pogotowie zawiadamia, że jadą na sygnale do porodu. Bądźmy na wszelki wypadek gotowi...

Między 13.40 a 14.00 na izbie przyjęć zmiana dyżurnych. Przychodzą pielęgniarki Genowefa Gieniec i Barbara Krzyżak, pielęgniarz Zdzisław Buszczak i salowa Barbara Uroda-Piekarz. Ja zaczynam dziewiątą godzinę mego dyżuru.

W tym czasie pielęgniarz pogotowia — bez lekarza — przywozi pacjentkę z bólami w okolicy mostka. Pani Halina wzywa lekarza dyżurnego izby przyjęć, doktor Halinę Tomkowską. Pojawia się pacjent z kolką wątrobową, kobieta z ręką na temblaku — rentgen wykaże złamanie przedramienia.

Godzina 13.50. Zaczyna się napór odwiedzających, których pracownicy izby przyjęć odprawiają z kwitkiem, bo szpital jest zamknięty z powodu grypy. Nie wszyscy chcą usłuchać, próbują przemycić się za plecami kolejnej pielęgniarskiej zmiany przez szpitalne drzwi.

13.54. Operacja zakończona, pacjentka śpi, pielęgniarki szukają pomocy, by ją znieść z powrotem na ginekologię.

Godzina 14.05. Obiad: zupa, sztuka mięsa, pomidor.

Godzina 15.40. Pacjentka ze złamaną ręką wraca do domu, pogotowie przywozi staruszkę, która spadła ze schodów, na chirurgii pacjent po resekcji żołądka czuje się lepiej, kobieta po operacji śpi, rodzi się nowy człowiek, w izbie przyjęć zawiany pacjent podtyka pod nos pani Barbarze opuchnięty paluch, drugi pijak z głową jak balon czeka na prześwietlenie czaszki, przychodzi wczorajszy pacjent po depozyt, przeprasza że po pijanemu rozrabiał. Piję drugą kawę.

Godzina 16.55. Na położniczym pacjentka z trzecią ciążą, poród będzie ciężki, pośladkowy.

Godzina 17.10. Na internie dziś wyjątkowo są wolne łóżka. Ale i tak pielęgniarki uwijają się jak w ukropie: tu zastrzyk, tam basen, ówdzie trzeba poprawić poduszkę, podać pić, przygotować leki... nie widzę, jak zresztą nigdzie w tym szpitalu, by pielęgniarki czy salowe siedziały przy kawce, plotkowały. Ale też nie słyszę niecierpliwych nawoływań chorych, dzwonków.

Pacjenci są pełni uznania i współczucia: — *To jest szpital wojewódzki?* — mówią. — *Na potrzeby miasta wystarcza, ale ma już siedemdziesiąt pięć lat, jest ciasny, no i zbudowany nie na dzisiejsze potrzeby. Mało lekarzy, mało pielęgniarek, mało salowych, brak obsługi męskiej. Czy te dziewczyny dadzą radę dźwigać? A gdzie mają się przebrać, obmyć, nawet załatwić? Gdzie my się mamy myć i załatwiać? Tu są tylko dwie toalety, na cały oddział kilkudziesięciołóżkowy!*

Godzina 18.00. Pediatria. Maleńki półtrupek ciężko dyszy na wilgotnej pościeli; i tak za mało mu wilgoci. Wieczorne zabiegi, mycie, przygotowania do kolacji.

18.30. Urologia. Na wózku jęczy pacjent czekający na cewnikowanie. Inny, na wpół nagi, siedzi kiwając się bezmyślnie.

Neurologia, tu większość pacjentów to starcy po wylewach.

Laryngologia z chirurgią szczękową — ktoś jęczy; chyba ten pijak ze spuchniętą głową; ktoś gra w karty. Ciasno, ledwie się można przecisnąć obok stolika.

Szatnie dla personelu... Nory pełne odrapanych szafek, na ścianach karaluchy, podobno są też szczury...

Schody, schody... Ile to już pięter przemierzyłam dzisiaj?

Godzina 18.40. W izbie przyjęć pijany pacjent, podejrzenie uszkodzenia oka. Zaraz przyjdzie dyżurny okulista. Pacjentka z urazem głowy, pobita przez szwagra. Inna — z atakiem kolki wątrobowej.

Piję trzecią kawę. Jestem w szpitalu od dwunastu godzin, marzę o prysznicu; mogę sobie marzyć! Nie ma! Jem kolację: jajko, ser topiony, chleb.

Godzina 18.00. Na chirurgii urazowej jakaś bojowa matka, która wdarła się tu wbrew zakazowi, nie pozwala podać dziecku lekarstwa, krzycząc, gdzie to ona ma lekarzy i ich leczenie.

Na chirurgii urazowej ta „od szwagra" czeka na konsultację; podejrzewany jest uraz brzucha.

Godzina 20.20, chirurgia dziecięca — mali pacjenci śpią. Pielęgniarki cicho przemykają się od łóżeczka do łóżeczka.

Chirurgia ogólna — pacjent po resekcji żołądka uśmiecha się już bez grymasu bólu. Zabrano sondę.

Godzina 20.40. Na izbie przyjęć pacjentka z podejrzeniem zapalenia wyrostka. Zmiana dyżurnych; przychodzą pielęgniarki Danuta Piotrowska i Beata Basta oraz salowy, przyszły student medycyny Zbigniew Liptak.

Godzina 21.30. Pijak z pociętymi szkłem rękami. Ciska się, aż wózek, do którego go przywiązano, jeździ po całym korytarzu. Pokrwawił ściany, krew kapie na podłogę. Pani Beata obrywa cios kolo oka — za chwilę będzie miała siniak. Doktor Stanisław Długopolski szyje rany, pijak wrzeszczy. Nie chce podać nazwiska, nie ma dokumentów. Po opatrzeniu rąk, ponieważ nadal jest bardzo agresywny, zostaje zabrany prze milicję do aresztu.

Godzina 22.20. Znów kobieta do porodu; szósta ciąża. Idę na salę porodową. Tam właśnie zaczyna się inny poród, też szósty. Patrzę przerażona na te kobiety, młode jeszcze, a już tak zniszczone, że robią chwilami wrażenie starych.

Położna Irena Strakosz podsuwa mi krzeselko; to na wypadek, gdyby mi się zrobiło słabo. Ale niepotrzebnie. Misterium, które odbywa się przed moimi oczami — misterium narodzin człowieka — jest pasjonujące, tajemnicze, wspaniałe. O godzinie 23.07 rozlega się krzyk noworodka. Chłopiec. 3107 poród w tym roku. O godzinie 0.55 rodzi córkę „moja" położnica.

Znów izba przyjęć. W brzuchu mi burczy, w głowie huczy. Jest godzina 1.30. W dyżurce trochę spokoju, rozmowa o niczym. I o szpitalu.

Pani Beata włącza sterylizator, przygotowuje narzędzia na jutro. Pan Zbyszek sprząta gabinet zabiegowy.

Godzina 2.35. Piję czwartą kawę. Marzę o kąpieli. Doktor Długopolski mówi: — *Musimy wziąć panią na etat. Dawno nie mieliśmy tak spokojnego dyżuru. Nawet w dni świąteczne, choć wtedy zawsze jest spokojniej, ale dziś nie ma nawet połowy tej ilości pacjentów, co w inne niedziele* — wskazuje książkę przyjęć, na potwierdzenie swych słów.

Myślę: — *Nic się nie dzieje, spokojny dyżur? A ja już mam zapełnie dosyć! Jak oni to wytrzymują?* — I chyba przysypiam nad książką, której przeczytałam zaledwie kilka stron...

Godzina 3.55. Telefon z neurologii.

— *Brak tętna!* — rzuca pani Danka. I kiedy pani Beata wydzwania lekarza, my już pędzimy po tych przeklętych schodach do góry, do góry. Osiemdziesięcioletni staruszek po wylewie przestał oddychać, serce nie pracuje. Dwie pielęgniarki próbują masażu serca, zastrzyków — nic nie zdoła przełamać strasznej nieruchomości starca. Na sąsiadnim łóżku leży młodszy od niego mężczyzna, szeroko otwartymi oczami śledzi wysiłki pielęgniarek. I kiedy odchodzimy, zgłoszone, wstrząśnięte śmiercią, on zostaje obok trupa...

W tym samym czasie na internie też następuje zgon. Umiera starsza kobieta na zawał serca.

Godzina 5.30. Po półtoragodzinnym pobycie w izbie przyjęć, gdzie otrząsam się z wrażenia, jakie wywarł na mnie pierwszy oglądany przeze mnie zgon człowieka, ruszam na ostatni obchód szpitala.

Urologia — noc przeszła na ogół spokojnie, bez alarmów, choć w ciągłej krzątaninie. Chirurgia urazowa ciężko zniosła noc kobieta pobita przez szwagra. Na chirurgii ogólnej niespokojni byli pacjenci po operacji cn. Przygotowywana jest pacjentka do operacji. Na bloku operacyjnym, w sali reanimacyjnej, jeden pacjent nadal nie odzyskał przytomności. Nie wiadomo, czy wyżyje. Laryngologia — nadal dwie osoby niespokojne, wymagające ciągłej kontroli. Na położniczym zaczyna się karmienie. Na ginekologii pacjentka po operacji obudziła się, dostała zastrzyk przeciwbólowy. Na internie, po niedawnym zgonie, narawan na korytarzu kryje zwłoki. Było też zagrożone życie drugiego pacjenta. Pediatria — nad ranem pojawiły się dwie matki z dziećmi, jedno z drgawkami. Ale chyba tylko z powodu wysokiej temperatury, bo po piramidonie zasnęło spokojnie. Na chirurgii dziecięcej „nowy" już się uśmiecha. W izbie przyjęć dwoch pacjentów po wypadkach samochodowych. Historia z morałem, bo jeden, wygrzebawszy się z rowu, machał na drugiego, a tamten nie zatrzymał się i... nieco dalej sam miał wypadek. Teraz dyskutuje zawzięcie, czekając na wyniki badań.

Jest godzina 6.40. Przebierając się we własne ubranie, myślę: — *Ileż trzeba samozaparcia, by pracować w takich warunkach! A przecież jest to szpital wojewódzki, placówka tak zwana wiodąca dla całego województwa! Kiedy poprawi się jego sytuacja? Kiedy będzie więcej miejsca, więcej lekarzy, pielęgniarek?*

Wychodzę z gmachu szpitala o 7.10. Idę do domu. A większość lekarzy, z którymi pełniłam dyżur, pójdzie stąd prosto do przychodni lub zostanie na oddziałach na następne osiem godzin. Nowy Sącz ma zbyt mało lekarzy.

PIERWSZE WYBORY

Czy przypadkowe było, że na terenie gorlickim właśnie u nich, w „Foreście", odbyły się najwcześniej wybory do Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność"? Wydaje mi się, że nie. Co prawda nie znam sytuacji w innych zakładach pracy tego regionu — być może, gdzie indziej też występują podobne prawidłowości; mam nadzieję, że występują — ale chodzi właśnie o to, że gotowość „Forestu" do powołania reprezentacji swojej załogi była wynikiem **szybkiego, świadomego i harmonijnego procesu tworzenia organizacji związkowej.**

Komisja Zakładowa Gorlickich Zakładów Przemysłu Drzewnego wyłoniona została na zebraniu wyborczym 25 listopada, a więc w niespełna półtora miesiąca po zebraniu założycielskim „Solidarności" z poniedziałku 13 listopada (jak widać, pechowa ta trzynastka nie była). Reprezentanci poszczególnych wydziałów utworzyli wówczas Zakładowy Komitet Założycielski, na którego czele stanął Franciszek Brataniec — bezpartyjny pilarz z wydziału galanterii hali nr 1. Komitet przedstawił się dyrekcji, określił tryb swojego działania, wyjaśnił zasady dobrowolnego naboru. Podpisano porozumienie wstępne. Dyrektor zobowiązał się, że gdyby nie dotrzymał umowy z „Solidarnością", to związkowcy będą mogli żądać ukarania go przez zjednoczenie. *„A zresztą łatwiej wam będzie po prostu wywieść mnie na taczkach"* — dodał.

Miłość od pierwszego wejrzenia? Nie. Przypuszczam, że w październiku dyrektor wolałby jeszcze „stare" związki. Tak nakazywałaby logika i dotychczasowa praktyka zarządania: gdy się kieruje, lepiej mieć do czynienia z posłusznymi. Ale wszystko zależy jeszcze od czasów, w jakich się kieruje. Bo jeżeli są to czasy, gdy nie jest załatwiany przez władze zwierzchnie, te centralne, żaden z postulatów załogi, powtarzających się na kolejnych Konferencjach Samorządu Robotniczego (a tak właśnie było w „Foreście", co przypomniał podczas zebrania wyborczego I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR, Czesław Cieniawa) — to wtedy, będąc między młotem a kowadłem, lubi się kowadło możliwie miękkie. Natomiast jeśli jest szansa na wywalczenie należytych warunków pracy, na docenienie potrzeb zakładu przez „górę" — wtedy lepiej mieć załogę zwartą i współpracującą z dyrekcją.

Pytaniem dla całej Polski było, kto szybko umie tę szansę zobaczyć. Jak elastycznie myśli. Otóż w „Foreście" byli ludzie, którzy widzieli przenikliwie i zobaczyli, że bardzo wiele się w kraju zmienia.

Po miesiącu w „starych" związkach została tylko niewielka grupa, natomiast „Solidarność" skupiała ponad 92 procent załogi, liczącej w GPPD 1856 osób — no i jeszcze do tego wszystkich emerytów. Przystąpiła do „Solidarności" zdecydowana większość członków zakładowej organizacji partyjnej liczącej trzy i pół setki ludzi, w tym członkowie egzekutywy i sekretarze oddziałowi. Tu trzeba koniecznie dodać, że w okresie organizowania się związku właśnie I sekretarz KZ łagodził tarcia między NSZZ a dyrekcją: „zresztą" — dodaje Czesław Cieniawa — *„na dobrą sprawę konfliktów nie było. W czasie ogólnopolskiego strajku ostrzegawczego nie mieliśmy rozbieżności zdań co do tego, że zadeklarujemy solidarność bez przerywania pracy".*

No cóż — powie teraz niejeden z czytających ten tekst — widocznie w „Foreście" wszystko jest na swoim miejscu, stąd i załoga zwarta, i konfliktów nie ma: nietypowy przykład...

Owszem, przykład jest nietypowy. Ale z zupełnie innego powodu. Właśnie dlatego, że w Gorlickim Przedsiębiorstwie Przemysłu Drzewnego prawie niczego nie ma na swoim miejscu, jeśli chodzi o warunki pracy. Ich solidarność nie oznacza solidarności zadowolonych. To jest solidarność do podjęcia walki.

Na przedsiębiorstwo oprócz centralnej fabryki w Gorlicach składają się placówki w odległych nieraz miejscowościach: tartaki w Uściu Gorlickim i Kączowej, zakład Kamienica-Szczawa. Wśród nich tylko Kączowa wykonuje — z trudem — swoje plany produkcyjne. Dzięki ofiarności ludzi. W Uściu trwa przeciągający się remont. W Kamienicy też nie ma mowy o wykonywaniu planu: *„nadal niedowład organizacyjny, nie pomogła zmiana na stanowisku dyrektora, stanowczo trzeba tam uzdrowić stosunki międzyludzkie"* — apeluje Czesław Cieniawa. Jeśli pracujący dla potrzeb rynku i na eksport „Forest" wykonał finansowo plan na rok 1980, a nawet go przekroczył o około 2 procent, to jest to li tylko wynikiem zmian cennikowych...

W samych Gorlicach zaś, choć ludzie z poświęceniem wykonują zadania, też warunki pracy nie różowe. Przez wiele godzin mówili o tym na zebraniu wyborczym reprezentanci załogi. Chodzi nie tylko o uciążliwe drobiazgi, jak brak rękawic ochronnych, zadaszeń, jak konieczność wykonywania wielu czynności nie należących do obowiązków (a niezbędnych, aby przygotować materiał do pracy), o to, że ciągle brak tarcicy — albo przychodzi mokra — co powoduje straty zarobku nie winnych niczemu pracowników. Tak; te rzeczy na pewno są bardzo istotne, ale chodzi także o poważniejsze: fatalny stan hal i parku maszynowego. *„Z zewnątrz zakład wygląda ładnie"* — mówi jeden z robotników — *„ale w środku to jest próchno! I zakładowe fundusze inwestycyjne nie tylko nie pozwalają na remont. Nie pozwalają nawet na to, aby uratować majątek trwały".* Transport wnątrzzakładowy odbija niczym miniaturowe krzywe zwierciadło sytuację transportową w Polsce. Oto, jak przedstawia się sprawa z wózkami: polski jest sprawny na ogół przez trzy lata — importowane bułgarskie przez rok. Polskich brak; bułgarski kosztuje 300 000 złotych, a jego remont po roku — 340 000 złotych. Nie ma do nich części; nowo sprowadzone wózki rozbiera się, by można było uruchomić te poprzednie, które stoją niesprawne. Włoski wózek kosztuje milion dwieście tysięcy — i gdy się zepsuje, jest bezużyteczny miesiącami, bo nie ma pięciu dolarów na zakup drobnej części. I tak dalej, i tak dalej...

Więc „Solidarność" jest u nich po to właśnie, by działać. *„Odcinamy się od politykierstwa"* — mówi Franciszek Brataniec — *„nie jesteśmy organizacją polityczną. Ale jesteśmy po to, by usunąć zło w zakładzie. Trzeba własnymi siłami ulepszać to, co ulepszyć się musi. Własnymi siłami zorganizować lepiej pracę, wykorzystać efektywnie czas i bronić interesów pracownika. Wyegzekwować należne świadczenia socjalne i płacowe".*

A więc domagać się, żądać i czekać? Nie. Nie czekają. Szukają sprawiedliwości nie tylko na zewnątrz, ale i wśród siebie. Doszli do wniosku, że cennikowe stawki akordowe nie odpowiadają rzeczywistemu wkładowi pracy, że nie są proporcjonalne. Cóż więc robić? Zabrać jednym, a dać drugim? Nie, to byłoby zbyt bolesne i konfliktowe. Ale inaczej rozdzielą fundusze podwyżkowe. Sami ustalą stawki. Oni, załoga. Jedenaście godzin trwała w Komitecie Założycielskim dyskusja o sposobie podziału tych pieniędzy. Nie mam wątpliwości, że załoga zgodziła się z tym podziałem: świadczą o tym wyniki wyborów.

Nim je przeprowadzono, Franciszek Brataniec przedstawił program działania. O niektórych jego punktach już wspomniałem. Była również deklaracja o ścisłej współpracy z dyrekcją, Komitetem Zakładowym PZPR oraz grupą związkowców branżowych, o ile taka pozostanie w zakładzie (*„ale nie będziemy w tej współpracy statystami"* — dodał przewodniczący Komitetu Założycielskiego, który niebawem z woli zdecydowanej większości wyborców miał zostać przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ).

„Największym problemem Polski" — mówił Franciszek Brataniec — *„nie są braki sklepowe, ale demoralizacja narodu. Istnieje kult cwaniactwa, a im większy kombinator, tym większe miał uznanie społeczne, pod hasłem: o, on to potrafi. Niezależnym i samorządnym związkom chodzi o to, by zerwać z tym haniebnym myśleniem. Chodzi nam o tych, którzy stoją cierpliwie w kolejkach i nie rozpychają się łokciami. Chodzi o braterską więź ludzi".*

Gdy nadeszła pora głosowania, przystąpiono do niego według wskazań ordynacji wyborczej: tajnie, bezpośrednio; oddzielnie obierano przewodniczącego, oddzielnie — członków Komisji Zakładowej, przy czym nie ograniczano listy kandydatów. Komitet Założycielski ustalił zasadę ilości członków Komisji: nie mniej niż jeden na stu związkowców — z tym, że do Komisji bezpośrednio wchodzą po trzy osoby z zakładów terenowych, wybrane już bezpośrednio w tych placówkach.

Wszystko wydawało się proste. Ale tylko z początku; no, bo tak to musi być przy pierwszych wyborach, gdy jeszcze brak doświadczenia... Gdy zgłoszono już listę kandydatów na stanowisko przewodniczącego — byli wśród nich, poza Franciszkiem Bratańcem, Ewa Słopnicka, Adolf Gryboś, Eugeniusz Jasiński, Franciszek Stabach: zarówno bezpartyjni, jak członkowie PZPR — sala zaproponowała, aby na liście kandydatów do Komisji Zakładowej umieścić wszystkich członków Komitetu Założycielskiego. Przyjęto to jednogłośnie. Kiedy jednak nie padły kontrkandydatury, Franciszek Brataniec zauważył, że może się to spotkać z zarzutem niedemokratycznego przeprowadzenia wyborów i zaproponował, aby każdą kandydaturę sala przegłosowała oddzielnie. I tu nastąpiło coś, co mnie doprawdy zaskoczyło: niemal wszystkie kandydatury przyjmowane były jednogłośnie, przy chóralnym aplauzie! Podczas kilkunastu głosowań zanotowano tylko cztery przypadki pojedynczego wstrzymania się od głosu; przeciwko nie był nikt! Zaambarasowany nieco przewodniczący ponowił prośbę o wskazanie dodatkowych kandydatów. Po pięciu minutach zaproponowano jednego: Jana Ziębę.

Uważam, że podobny przebieg walnego zebrania wyborczego daje wiele do myślenia i musi być potraktowany jako dowód wielkiej zwartości załogi; wielkiego zaufania do tych, którzy postanowili reprezentować jej interesy.

Co prawda, w dalszym toku głosowania wystąpiły jeszcze poważne komplikacje, ale były to komplikacje czysto techniczne: po prostu nie przewidziano, że z końca, a nawet z połowy olbrzymiej sali nie będzie widać nazwisk, napisanych kredą na tablicy. Trzeba było przygotować kartki z listami kandydatów: cóż, pierwsze wybory...

Franciszek Brataniec i członkowie Komisji Zakładowej zostali wybrani olbrzymią większością głosów. Teraz kierownictwo „Solidarności" w Gorlickim Przedsiębiorstwie Przemysłu Drzewnego musi wypełnić kredyt zaufania, którym tak spontanicznie obdarzyła je załoga. Życzę mu wszelkiej pomyślności. Wiersze, że jest to „Solidarność", jakiej potrzeba.

ADAM GARBICZ

Baśń tylko dla dorosłych

MILCZĄCY DZWON

Było to dawno temu, a może teraz? Gdzieś bardzo daleko, a może tutaj, gdzie ziemia przepasana Dunajcową wstęgą... Rozwijał ją codziennie świt, zwijała pracowicie noc. Ojcomił nad samiutką rzeką mieszkał. Bystra woda go karmiła, wychowała, a on pozostał jej wierny. Zawsze i nieodmiennie. Czasem na przekór wszystkim. Bo jak przyszła powódź, to gromy leciały na wezbrane wody, a jak posucha i rzeka szczerzyła na polnych ludzi suche kamienne zęby... to trudno było chwalić skąpiącą wodę.

A Ojcomił nic. Zęby zaciskał i w wierności trwał. Mało mówił, robił dobrze swoje. Końca rychłego nie wyglądał. Nagrody nie czekał. Był nad Dunajcem i kwita. Był zawsze, nieodmiennie, jak dzień i noc, jak dzień i noc... Gdy wołali go ludzie do siebie, szedł chętnie. Wśród nich siadał. Słuchał godzinę, dwie, trzy i więcej o czym mówią, ale sam rzadko słowo swoje im dawał. Najczęściej milczał. Mądrze milczał. I ludzie szanowali go za to, ale i bali się go trochę. Bo o czym on myślał?

Był jak ten dzwon, co rzadko się odzywa, ale wszyscy wiedzą, że jest, a gdy coś powie, to się nie pomyli i nie będzie odwoływał swojej wieści.

Aż nagle przyszły takie czasy, których nie zapowiadały najlepsze, najdokładniejsze zegary. Rozgorączkowali się ludzie, mówili więcej niż zazwyczaj: za dziś, za wczoraj i jakby na zapas. Cała ziemia drżała pod ciężarem słów, uginała się pod ich lawiną, pod ich potopem. Co bardziej niecierpliwi pobiegli do Ojcomiła.

Co on powie? Jaką da radę? Co każe czynić?

Lecz daremnie stali przed jego domem ułożonym z rzecznych kamieni. Nie otwarły się drzwi, nie uchyliło okno.

— Zdradza nas! — krzyknął ktoś z tłumu. — Zdradza swoim milczeniem!

— Stchórzył!

— Marny mędrzec, unika prawdy! I znów słów było więcej niż potrzeba. W ślad za kolczastymi okrzykami posypały się kamienie. Ale odbijały się one od ścian Ojcomiłowego domiszcza i uderzały w rzucających. Zamilkli wszyscy przestraszeni, bo jakże to tak? Samego siebie ranić? I tłum zaczął się rozpadać, ale nie całkiem.

Bo znalazł się odważny. Wystąpił naprzód i jeszcze raz spróbował wejść do środka kamiennego dworu Ojcomiła. Ale normalnie, po ludzku.

I drzwi otwarły się. Więc wszedł do środka.

Sam.

Na rozmowę z Ojcomiłem.

A może na rozmowę cichą i spokojną z samym sobą?

EMIL BIELA

Tadeusz Staich

Chotarski i morze

Muzykant Chotarski wybrał się
nad morze
szczęśliwy, że jeszcze takiej chwili
dożył.
Muzykant Chotarski miał skrzypce
jak niecki,
a tak wyglądał, jak wiersz
staroświecki.
Rytmy i rymy zmierzwiły mu
głowę,
u warg wersety stygną koturnowe.
Twarz miał zoraną i skórę spaloną
a oczy siwe nutą zbłękitnioną.
Ręce symbole do przenośni jakby
stworzone kształty po mistrzowsku
kładły.
Na nieckach skrzypcach zdjął
chleb powszedni
czyli muzykę, nutę, jak chcą jedni.
I z tą muzyką, z tą nutą się
wybrał
równie podobny bacy, jak
i szypra.
Nieco zgarbiony — dwie siekierki
dźwigał —
nad morzem zaczął muzykanta
finał.
To był listopad. Rybacką osadą
góralskie nuty najparadniej jadą
a takie rzewne w przystrojeniu
całym
jakby po reglach, po halach
płakały.
Słuchają szyprowie podhalańskich
nutek
zamysł nawodzących i piękno
i smutek
i tak się zdawało, że w tej
szumnej sali
ludzie gór i morza jednością się
stali.
Chotarski zakończył madziarem,
zwyczajnie,
zszedł ze sceny godnie, tłum mu
się w krok garnie —
ale on już w polu, do skrzypiec
sztorm włożył
i idzie grający, sam idzie, ku
morzu.
A na końcu świata niebo utopione,
a morze w muzyki przewala się
stronę
jak góry grzbietami muzyce
przypływa —
i wrze krew zielona, grani
srebrna grzywa.
Przystanął Chotarski żywiołom
najbliżej
a morze gra nuty i kierpce mu liże
Odpowiada w skrzypcach, nut
wyrzuca mrowie —
więc na dwa żywioły koncertują
sobie.
Pasą się nuciczki na tej morza
hali
jakby wraz szyprowie i bacowie
grali
a to sztorm i halny w Chotarskiego
strunie
wzajemnie próbują żywioły
swych sumień

Wrócił się z nad morza ku halom
prymista
i dograł swój finał. Sprawa
oczywista.
A gdy na Polanach złożyli go
w deskach —
na morzu stanęła cisza
staroświecka

ZIMA

(Fotoreportaż Władysława Wernera)

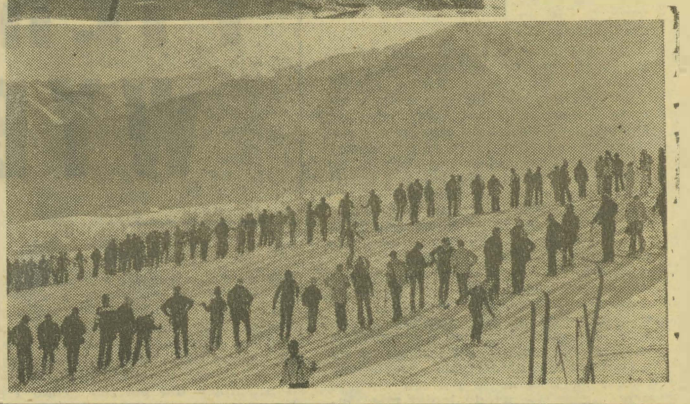

RUBRYKA ZBIGNIEWA SIATKOWSKIEGO

TEMPEROWANIE PIÓR

I oto nagła lawina. Biało-czerwona lawina wierszy wyrosłych z namiętności i żaru jesiennych miesięcy 1980. Ojczyzna na każdych ustach i w każdym sumieniu. Ojczyzna — to, o co spieramy się do zachrypnięcia, do poruszenia serca, do niesprawiedliwości nieraz. Jakżeby jej mogło nie być pod piórem kogoś, kto postanowił w próbie pisarstwa wypowiadać siebie i swoich? Więc koperta za kopertą. Więc wspólne tutaj czytanie.

Rzecz jasna, bardzo różne zdarzają się wiersze. Czasem w tonacji żartu, i na ogół te proponują uśmiech raczej smutny. Na przykład *Opłatek* pana Józefa Pary-Hejki z Poronina.

Przystanęły dwa aniołki
i pytają, co za kraj,
po co te kolejki?
to jest Polska, to jest raj!
My za chlebem, aniołeczki —
robotnik wyjaśnia [...]

Tak rozmawiają, aż wiersz osiąga zwieńczenie — pełne uroku, lecz i pobudzające do zastanowień: czym i jak można zaradzić na kłopoty ludzi sprzed sklepów? Oraz: kto?

Ale z kolejki nikt się ruszył,
wszyscy patrzyli jakoś z niewiarą,
tylko aniołek drugi się wzruszył,
przyniósł opłatek im kolorowy.

Lub fraszki pani Heleny Kudlaciak z Bielska-Białej. Trzy wybraliśmy. Radosne to, zabawne? A przecież znak czasu:

Mrówczą pracą
nie zawsze mrówki się bogacą.

Także i w drugim kierunku autorka przygadać potrafi.

Stanął na piedestał
I pracować przestał.
Och, mój Boże!
Może strajk pomoże?

Teraz chcę skomentować kilka spośród dziesięciu wierszy, które nam udostępnił pan Józef Szaflarski z Czarnego Dunajca. Oto *Cudzy życiorys*. Powiem od razu: nie do końca jeszcze sprecyzowany poetycko, nie całkiem gotowy. Lecz co się tu mówi i co zauważyć warto:

Korzenie mej ziemi
sięgają głęboko pod serce
a myśli jeszcze głębiej

w nabrzmiałe kiście
chłopskich rąk
łapczywie chwytam
rozproszenie nadziei

W innym znów tekście tegoż autora, noszącym tytuł *Rozwagi i pracy* brzmi refleksja aktualna, też wyrażona ze świadomie zaznaczonej pozycji chłopskiej:

za sobą widzę cień
rzucony w poprzek drogi
za sobą widzę czas
nie spełnionych nadziei

na chłopski rozum
na wiejskie świętości
klnę się

za zgodą własnego sumienia
rzucam za siebie
wszelkie namiętności

dziś nam rodacy
rozwagi i pracy
nam dziś szczerości
i jedności trzeba

Czyli to samo, co także w wierszu *Obawa* przeczytamy. Tylko że tym razem hasło polityczne okaże się wzbogacone o porównanie, o obraz. Dzięki temu jesteśmy tu świadkami jakby powstawania drobiny poezji. Malutko to, ale we właściwym kierunku.

tej ziemi
pracy i spokoju trzeba
czułości z jaką matka
karmiąc swoje dziecię
nie skąpi piersi

Sam autor to, co do nas przysłał, określa jako „próbki wierszowanych myśli". Właśnie. Myśli są nie poplątane, jasne, i z reguły zasługują na to, by z nimi się solidaryzować. Że wierszowane — prawda; to rzeczywiście wiersze, tutaj użyto formy wierszowej. Natomiast: czy w tym jest poezja? Zawsze? W każdym calu? Trzeba wątpić. Zbyt dosłownościowa aktualność przeszkadza poezji. Te wiersze są gorące, więc pośpieszne, więc lekkie brulionowe. Taka logika? Tu jesteśmy przeciw. Niechby były gorące, lecz niepośpieszne. Niechby można było zaufać ich niedoraźności, antydoraźności.

Wyrażam tutaj postulat, o którym sam wiem jak mało jest realny w chwilach rozżarzenia dziejowego. One zawsze będą sprzyjać poetyckiej gorączce, zawsze ludzie o ambicjach pisarskich hardo będą spoglądali w oczy ryzyku artystycznej przeciętności czy wręcz lichoty. Popatrzmy na naszą poezję powstańczą: od barskiej konfederacji po pałacyk Michla. Ileż my tam musimy autorom wybaczać — i przecież wybaczamy. Zostawili nam ważny ślad swoich czasów nawet przy całej naiwnej amatorszczyźnie literackiej.

Amatorska nietrafność przydarza się też wierszom, o których rozmawiamy dziś. Cytowaną wyżej *Obawę* pochwaliliśmy za porównanie czułości obywatelskiej do macierzyńskiej. Lecz jednak w pełnym tekście wiersza porównanie było przeszarżowane.

karmiąc swoje dziecię
nie skąpi piersi
ani pajdy chleba

Z tą piersią — piękny obraz, oczywisty. Od razu nam Wyspiański staje przed oczami: *Macierzyństwo*. Także „pajda chleba" tworzy obraz sugestywny, choć zupełnie inny. Pajda chleba to więcej niż kromka. Grubiej, bardziej szorstko. Aż niemal widać materię chleba w tym wyrażeniu. Tylko: jak matka może karmić równocześnie piersią i pajdą? Dwoje — tak. Dwoje nierównolatków. Ale tutaj wyraźna liczba pojedyncza: „dziecię". Biedny osesek ucierpiał na nadmiarze nie skoordynowanym dobrych intencji poety.

Co sprawia niekiedy trudność w wierszach układanych według reguł współczesnej poezji, to staje się łatwe, gdy autor zaufa stylizacji folklorystyczno-pieśniowej. Znana rzecz. Doświadczenie naszych poprzedników pracuje dla tego, kto podjął ich ton i ich rytmy. Toteż w ładnej *Pastorałce* wszystko na swoim miejscu. I sami byśmy radzi (nie tylko przez wzgląd na śliwowicę) przyłączyć się do nadziei kolędników i pastuszków: „nowy czas nastaje". Oby to była jak najlepsza wróżba na nasz osiemdziesiąty pierwszy.

JÓZEF SZAFLARSKI

PASTORAŁKA

Świątki przydrożne
kapliczki ubogie
dzieci — pastuszki
sterczą bosonogie

z otwartych dźwierzy
zaduch parą bucha
z Herodem straszy
diabeł i kostucha

Witajcie nam kolędnicy
topcie żale w śliwowicy
nowy czas nastaje

Cieszy nas zapach
kadzidła i złota
nie znajdzie szczęścia
gawiedź i hołota

gwiazdy prowadzą
w wszystkie świata strony
słońce jest złotawe
a śnieg pobielony

Witajcie nam pastuszkowie
zaśpiewajcie co się zowie
nowy czas nastaje

W TATRACH

Szczawnicki GÓRAL

Rok 1978 — wrzesień — Szczawnica. Prowadzę autokarową grupę turystów, którzy moje informacje o ziemi nad Dunajcem, Pieninach przerywali dźwiękiem szkła i częstym „zdrówkowaniem" do siebie spełnianym.

Dowiozłam wycieczkowiczów do przystani flisackiej w Sromowcach-Kątach i sama, choć ciągle nie dość mi dziwów pienińskiego pejzażu, nie wsiadłam do łodzi ze zbyt rozbawionym gronem „krajoznawców", ale wróciłam do Szczawnicy, by tam oczekiwać na powierzonych mojej przewodnickiej pieczy. Oparta o poręcz mostu nad Grajcarkiem, wpatrzona w bystrzyny Dunajca wyglądałam flisackich łodzi z moimi podopiecznymi. By skrócić czas oczekiwania, odwróciłam wzrok ku rzędowi powozów góralskich, na drodze przy przystani oczekujących na chętnych do przejażdżki. Uwagę moją zwrócił jeden z powozów, wyróżniający się schludnością. Na jego koźle siedział siwy, z sumiastym wąsem, w zadbanym stroju szczawnickim góral. Podeszłam więc do konia, który spodobał mi się maścią i gładkością wyczyszczonej sierści, a i ozdobną uprzężą. Góral, widząc moje zainteresowanie, uprzejmie swoje fiakierstwo zaofiarował i nie był urażony kiedy wyjaśniłam, iż nie chęć przejażdżki przywiodła mnie ku jego dorożce. Skomplementowałam ładnego konia i dobrze utrzymany powóz.

Potoczyła się rozmowa, szczególnie dla mnie ciekawa, iż o sprawy mojej rodzinnej parafii zawadzająca.

Pan Jan Szczepaniak, bo takie nazwisko nosił, opowiedział piękną polszczyzną jak stał się właścicielem powozu. Otóż w czasie I wojny światowej był żołnierzem w armii austriackiej i zostawał pod komendą pułkownika Antoniego Langera. Pułkownik kupił po owej wojnie majątek ziemski w Zbyszycach i tam osiadł. (Sama pamiętam z dzieciństwa parę siwych koni i powóz którymi p. Antoni Langer jeździł w Zbyszycach.) W czasie drugiej wojny światowej wywiedział się p. Jan Szczepaniak, iż w zbyszyckim dworze jest do sprzedania powóz, a że dorożki do kupna poszukiwał — wybrał się ze Szczawnicy do Zbyszyc do „swojego" pułkownika. Długo dopraszał się o przedstawienie p. Antoniemu Langerowi — który wtedy chorzał — swojej chęci kupna powozu. Chciał się też przypomnieć jako podkomendny pułkownika. Udało mu się na koniec stanąć przed obliczem dawnego dowódcy. Pogadali sobie, a jakże, i ubili interes: powóz stał się własnością p. Jana.

Obliczając w myślach lata, których opowiadanie dotyczyło, i patrząc na górala prosto i godnie na koźle się trzymającego kiedy obok inni dorożkarze z wyglądu od niego znacznie młodsi pochyleni i przygarbieni losu swego czekali — wyraziłam niewiarę w jego opowieści.

Nieco urażony p. Jan podkreślił wtedy, iż ma 82 lata. Zdumiona, iż w takim wieku można tak czerstwo i zdrowo wyglądać, tak sprawnie swojego konia, powozu i siebie doglądać, wykrzyknęłam pytaniem: co go tak prosto w życiu trzyma? Pan Jan odparł żarliwie: „czekam, kiedy w Polsce nastanie sprawiedliwość".

W 1980 roku byłam w Szczawnicy jesienią. Pana Jana Szczepaniaka nie spotkałam już na koźle dorożkarskiego powozu.

IRENA STYCZYŃSKA

ADAM GARBICZ

Jak w zwierciadle

Lęk kosmiczny

Dobre sobie! W rubryce poświęconej tym wydarzeniom z ekranu filmowego, które są zwierciadlanym odbiciem prawdziwych zjawisk życia, mam właśnie zamiar napisać o... dramacie z kosmosu, rozgrywającym się gdzieś hen w odległej przyszłości. Powiecie pewno, moi Czytelnicy: pasuje to do całości jak pięść do nosa.

A jednak swoją decyzję zastanowienia się tym razem nad filmem OBCY — 8 PASAŻER „NOSTROMO" spróbuję uzasadnić. Bo wcale nie chodzi tylko o to, że wyświetlany jest aktualnie w wielu kinach i że to naprawdę dobra rzecz, jedna z najlepszych w gatunku horroru, czyli opowieści grozy. Pozwolą zatem amatorzy kina, że jako przewodnik zaproszę ich na wycieczkę myślową w nieco inne regiony, tam gdzie liczy się fantazja i wyobraźnia.

Czyż bowiem okruchy naszego sposobu pojmowania świata, naszych doświadczeń, a już szczególnie — nakazów moralnych nie znajdują się nawet w baśniach? No proszę, widzę, że wszyscy się zgadzają. Chodzi tylko o to, czy chcemy te ukryte sensy badać, zgłębiać je, czy też wolimy pozostawić sobie tylko przyjemność relaksu. Oto GWIEZDNE WOJNY: komiks, pastisz, czysta zabawa. Czy tylko? Nie, i dlatego o filmie Lucasa też kiedyś szerzej wspomnę: bo dla mnie jest on bardzo ciekawą wykładnią myślenia Amerykanów-idealistów.

Ale tym razem o kosmicznym dreszczowcu Ridleya Scotta — malowanym bardzo ponurymi barwami, klaustrofobicznym, bezlitosnym. Patronem tego reżysera brytyjskiego jest Joseph Conrad; w poprzednim swoim filmie, POJEDYNKU, Scott popisowo zekranizował jedną z mniej znanych choć mistrzowskich nowel słynnego Polaka. Tu wzorował się na jego stylu: na sile i prostocie ujęcia tematu. Pod tym względem powiodło mu się świetnie. OBCY — 8 PASAŻER „NOSTROMO" jest też perfekcyjny technicznie i wizualnie (frapujące dekoracje szwajcarskiego plastyka-surrealisty H. R. Gigera, którego sztuka jest silnie przeniknięta pierwiastkiem erotycznym). Gorzej z zawartością treściową: fabuła jest uboga, scenariusz balansuje na krawędzi bzdury, rapsodia skondensowanej grozy nie pozostawia swobodnej chwili na refleksję (zauważono, że ten film „dojrzewa", nabiera znaczeń w świadomości obserwatora dopiero poza salą kinową).

Cóż więc skłania mnie do wpatrywania się weń? Jest arcyrozrywką dla przepadających za grozą — no to bardzo dobrze, kino polega także na tym, by emocjonować, i na tym kropka.

Otóż jednak jest powód. Film Scotta dotyka bardzo istotnej sprawy: reakcji na zło. Tych, którzy potraktują poważnie przedstawioną w nim sytuację, pyta o konieczności wyboru postępowania człowieka rozpaczliwie samotnego i poddanego terrorowi strachu. Ostrzega i przygotowuje na czas najwyższego zagrożenia, gdy trzeba działać z zimną krwią, bezwzględnie i bezbłędnie. Jest więc w nim ważna prawda, ale nie materialna, tylko psychiczna.

Oto przez otchłań wędruje w misji roboczej pojazd z siedmioosobową załogą. Wszyscy działają sumiennie, słuchają kapitana, wierzą w celowość wydawanych poleceń; są uprawdzie drobne tarcia pomiędzy dwójką pracowników niższego szczebla a doświadczonymi nawigatorami — na tle płacowym i ambicjonalnym — ale wszystko dobrze idzie, dopóki nie pojawi się zagrożenie z zewnątrz. Wehikuł dostaje odgórne polecenie zmiany kursu i zabrania ładunku specjalnego. Tu zaczyna się nieszczęście. Wielopostaciowe, niezidentyfikowane, niszczące zło wnika na pokład. Wbrew przestrogom jednego z członków załogi podejmowane są próby okiełznania tego, co trzeba było natychmiast skazać na zagładę i wystrzelić w kosmiczną pustkę. Wybucha panika, wszystkich obezwładnia strach, kapitan traci głowę. Gdy okazuje się, że załoga została oszukana przez mocodawców, jest już za późno...

„Stosowanie kategorii dobra i zła w odniesieniu do ewentualnych form życia w kosmosie mija się z celem" — mówi Ridley Scott. — „Za uzasadnione uważam tylko przekonanie, że kosmici istnieją gdzieś wokół nas. W ten właśnie sposób można nadać fantazji walor autentyzmu".

A więc wszystko jest tu, tylko cokolwiek inaczej? Celem była opowieść o lęku kosmicznym, który mieszka w nas, w naszym mikrokosmosie psychicznym? Szlachetny zamiar uprzytomnienia tego udał się autorowi albo nie — to zależy, na ile się przejmie odbiorca jego opowieści — wypada jednak zapytać, czy ma być to tylko katastroficzna wizja, czy też przedkładana jest w konkluzji jakaś nadzieja?

Jest. Nie mogę zdradzić sposobów na zwycięstwo nad złem, bo nie wolno mi ujawniać szczegółów tym, którzy nie znają jeszcze dramatu załogi „Nostromo". Mogę wszakże opisać, co jest gwiazdą przewodnią bohatera, który zwycięża: wiara w swój rozum. Każdy lęk, nawet kosmiczny, można zracjonalizować. Przywilejem człowieka jest myślenie. To ono nakazuje mu ostrożność i bezwzględność tam, gdzie działać trzeba bezlitośnie. To ono pozwala mu nie dać się sprowokować. Przetrwać cierpienie. Wyznaczyć sposób zniszczenia perfidnej bestii.

Ha! — powiedzą w tym miejscu Czytelnicy. Po pierwsze, to nic nowego; po drugie, widzimy tu działania robota, a nie człowieka żywego, którym rządzą przecież — muszą rządzić — również uczucia.

Odpowiem na pierwsze: zgodo, że nic nowego — ale już wzmiankowałem, że w dramacie o załodze „Nostromo" chodzi o rzeczy spotykane tu, na Ziemi, i to wcale często — oraz, że treść jest nieskomplikowana; wcale to jednak nie znaczy, że nieważna. Co zaś do drugiego, odsyłam do filmu: zwyciężył właśnie nie człowiek-robot, ale ktoś, kto nosił głęboko w sobie humanizm, miłość dla istot żyjących, dla przyjaciół. Bezwzględne działanie i wiara w rozum nie musi oznaczać braku serca.

Z magnetofonem u Jana Plucińskiego

— Co pan porabia?

— Ostatnio to niewiele. Prowadzę życie emeryta. Chcę, to śpię, chcę, to piszę. Teraz piszę wspomnienia, mam już prawie dziewięćset stron, ale do końca daleko. Wciąż nowe rzeczy sobie przypominam.

Pan Pluciński kładzie na stole pękatą teczkę z maszynopisem. Czytam:

...urgów. 13 kwietnia 1897 roku. Pojawiłem się na świecie. Nie dowiedziałem się, gdzie to było...

— Jak to: nie dowiedziałem się?

— Bo dzieci wtedy rodziły się w polu, w lesie, na polanie. Gdzie matkę dopadło przy robocie. No więc *nie dowiedziałem się, gdzie to było. Matka nie miała żadnego urlopu macierzyńskiego, odpoczęła sobie tego dnia, ale już na drugi dzień ciupała patyki na oborze. Chrzestna Matka od Kościelnika przynosiła jej pożywienie w garnkach. Była to albo rykwaska, albo łuska z polewką. Matka z obory się nie oddalała, bo musiała mnie pilnować...*

— Panie Pluciński, czy będzie pan drukować te wspomnienia?

— No... Dyć... Z drukowaniem nijako. Bo tego jest dużo, teraz nie chcą dużo drukować. Im mniej, tym lepiej. A mnie znów trudno skracać.

Moim światem najpierw był dom, obora, ogród, sąsiedzi. Zabierano mnie w pole. Po ukończeniu sześciu lat rozpocząłem naukę w szkole ludowej w Jurgowie. Nauczyciele wbijali nam do głowy, że jesteśmy Węgrami, a wydawnictwa kościelne same słowackie. Polski język był tępiony. Najlepiej było o nim nie mówić, ale gdy konieczność wymagała, to ten dziadowski, polski język przezwano językiem „góralskim", aby tylko nie nazwać go językiem polskim. Do wsi nie dochodziły żadne polskie gazety. Niektórzy wpłacali składkę członkowską dziesięć koron do „Spolku sv. Vojtiecha" i za to do końca życia otrzymywało się różne wydawnictwa religijne po słowacku, a nawet *Robinsona Crusoe* i *Quo Vadis* — też po słowacku. Jurgów nazywał się oficjalnie Jurgo, potem przemianowali na Szepes Györke, Czarna Góra to Fekete Bére, i tak dalej, a ja się pisałem Pluczinsky János. Taka to była okropnie wdzięczna praca dla madziaronów.

W 1909 zacząłem uczęszczać do gimnazjum w Krakowie?

— Jak to się stało?

— Och, to długa historia. Paru studentów z Bochni wybrało się w Tatry. Za Nowym Targiem napotkali chłopa, który prowadził cielę na jarmark. Cielę mu się rozbrykało, wyrwało się. Studenci zrobili obławę i bydlątko złapali, a on z wdzięcznością zaprosił ich do siebie. „Idźcie do Jurgowa, ja siedzę w górze koło figury Matki Boskiej. Wejdziecie na oborę, koło dźwierzy jest wielki kamień, pod kamieniem schowek na klucz, wejdziecie sobie do izby. Grule po ławą, kwaśne mleko na policy, to sobie pojedzcie — a ja sprzedam cielę, to do was wrócę". Ten chłop nazywał się Tomlan Jan, bardzo był mądry. Studenci pomieszkali trochę w Jurgowie i zobaczyli, że ludzie mówią tutaj śliczną polszczyzną, ale mało który czuje się Polakiem. No, i zabrali jednego chłopca od Tomlanów do szkół. Towarzystwo Szkoły Ludowej wzięło go pod opiekę. Zapragnąłem pójść w ślad tego mojego kolegi. Uparłem się w domu, nudziłem, nudziłem, aż mnie posłali. Ale w 1914 roku wojna wybuchła, wkrótce potem ojciec mi zmarł. Jeszcze w nowotarskim gimnazjum udało mi się skończyć piątą klasę, po czym wcielili mnie do wojska. Służyłem w k. und k. Infanterie Regiment 67, z powodu wojny przeniesionego do Ungwaru czyli Użgorodu. Ale ponieważ miałem trudności z językiem węgierskim, przeniesiono mnie do Tarnowa, do k. und k. Infaterie Regiment 20. Pułk ten w czasie pokoju kwaterował w Nowym Sączu. Stamtąd wzięli mnie na ski-kurs do Zakopanego. Tak, nauczyłem się jeździć na nartach jako cesarski wojak. Poten front włoski. Karyntia. Greifenburg. Ranili mnie, leżałem w szpitalu, ale ucieklem do Nowego Targu i zameldowałem się u doktora Bednarskiego. Zostałem łącznikiem między nim a Spiszem.

— Może kilka słów o doktorze Bednarskim...

— Znałem go jeszcze z austriackich czasów, był wtedy powiatowym fizykiem. Słynął jako dobry lekarz, więc ludzie przyjeżdżali do niego ze Spisza i Orawy. On już od wielu lat przygotowywał plebiscyt, budził narodowe uświadomienie. Wiele dzieci spiskich umieszczał w gimnazjach, przerzucał polskie wydawnictwa przez granicę. Po wojnie został starostą spisko-orawskim. Bardzo wiele mu zawdzięczam.

Kiedy w roku 1920 zaniechano plebiscytu i postanowiono powierzyć pośrednictwo w sprawie granicy na Spiszu i Orawie Radzie Ambasadorów w Paryżu, doktor Jan Bednarski zaczął organizować delegację, która miała przedstawić polskie prawa do tych ziem. Pojechał ksiądz Ferdynand Machay z Jabłonki i dwóch gazdów: Orawę reprezentował Piotr Borowy z Rabczyc, a Spisz — Wojtek Halczyn z Lendaku. Obaj znali angielski, bo byli w Ameryce, robili w majnach. Pojechali więc gazdowie, wystrojeni w portki, sukmanki i kapelusze, do tego Paryża. Długo nie mogli się do prezydenta Wilsona dostać, aż wreszcie Ignacy Paderewski wyjednał im posłuchanie. Różne pogwarki chodzą o tym, jak to było. Podobno Piotr Borowy zapomniał angielszczyzny, tylko chwycił rękę Wilsona, głaskał ją i powtarzał: „Ostawcie Orawsko przy Polsce, ostawcie...", a Halczyn pokazywał na maple, gdzie Polacy siedzą. No, i ci mądrzy panowie ambasadorowie wytyczyli granicę tak, że jedna trzecia jurgowskiej ziemi, nie mówiąc o lasach, znalazła się w Czechosłowacji. Na Orawie było jeszcze gorzej, bo granica przechodziła środkiem wsi i wielu gazdów miało chałupy w Polsce, a obory w Czechosłowacji. Do wychodka trzeba było chodzić z przepustką. Potem resztę Lipnicy Wielkiej przyłączono do Polski, a za to oddano Głodówkę i Suchą Górę. Na Spiszu i Orawie powstała granica, wytyczona przez panów, którzy nigdy tych terenów na oczy nie widzieli.

Wojtek Halczyn z Lendaku nie był taki sławny jak Piotr Borowy. Niedługo potem zmarł. Na jego grobie ufundowano pomnik z polskim napisem, ale Słowacy ten napis zlikwidowali. No, i Halczyn ma grób słowacki.

A ja w dwudziestym roku zostałem nauczycielem w Łapszach Wyżnich. Siedziałem tam czternaście lat. Potem uczyłem w Brzegach, we Frydmanie, w Jaworzynie Spiskiej byłem dziewięć miesięcy. Tam było chyba najtrudniej.

Wybuchła wojna, musiałem się ukrywać. Mieszkałem w Wieliczce i w Woli Radziszowskiej, na Podhalu ani na Spiszu być nie mogłem, za dobrze mnie tu znali.

Po wojnie zostałem na trzy lata dyrektorem Uniwersytetu Ludowego w Culichowie pow. Grodków, potem zaś osiadłem w Chochołowie. Byłem tam kierownikiem szkoły, aż do emerytury.

Szkoła była stara, pamiętająca jeszcze czasy Poruseństwa. Miała jedną izbę do nauki, drugą na mieszkanie kierownika. Drewniany budynek otoczony był z jednej strony przez gnojowkę sąsiada, z drugiej — ustępy szkolne, a z trzeciej biegła droga publiczna. Trzeba się było zabrać do budowy nowej szkoły. Ileż było perypetii, chodzenia, starań, wycierania kurzy po różnych urzędach! Nie da się tego opowiedzieć. Wreszcie jesienią 1956 roku dzieci zaczęły się uczyć w nowej szkole. To był nasz chochołowski Październik. Teraz, gdy czasem przejeżdżam przez Chochołów, budynku już nie widać spoza lip, które sadziłem z moimi uczniami.

Pytacie, od kiedy zajmuję się zabytkami i kulturą ludową? Och, nie jestem żadnym tam znawcą, tylko skromnym amatorem. Nauczyłem się wiele od Juliusza Zborowskiego. Znałem go jeszcze z czasów, kiedy redagował *Gazetę Podhalańską*, w której od czasu do czasu zamieszczałem coś na temat Spisza. A potem przychodziłem do Muzeum Tatrzańskiego na różne zebrania. Kiedyś, jeszcze przed wojną, na jednym z tych zebrań mówiono o zabytkach, więc i ja zabrałem głos i opowiedziałem, co dzieje się w kościele frydmańskim. To najstarszy kościół na całym polskim Podtatrzu. Zaczęli odnawiać ołtarze, proboszcz nie porozumiał się z konserwatorem, sprowadził jakiegoś artystę ze Sącza — lepiej nie wymawiać jego nazwiska — który pozdejmował figury z ołtarza i powynosił je do kasztelu. Zaczął swoje rządy od kupienia metalowych szczotek, najął sobie ludzi i w przeciągu tygodnia wszyscy święci byli goli. Całą farbę pozdzierał, w tym prawdziwe złoto, które jeszcze całe stulecia mogło się trzymać. Jak się o tym w Krakowie konserwator wojewódzki dowiedział, to przysłał znawcę, wybraliśmy się z nim razem i dopadliśmy artystę-naprawiacza, jak zwykły brąz, taki papierowy, przyklejał w miejsce polichromii. O mało tam do bitki nie doszło.

Tadeusza Staicha poznałem jeszcze przed wojną, a panią Pieńkowską na początku lat pięćdziesiątych. Chodziłem z nimi po Podhalu, Spiszu i Orawie „drogami skalnej ziemi". Gdzie miałem znajomych, to prowadziłem. W Jurgowie u siostry nocowali, w Łapszach u znajomych. Oni się wtedy uczyli i ja się od nich uczyłem. Chodził też pan Werner, fotografował. I tak powstała bardzo dobra książka. Niby popularna, ale dużo w niej rzeczy naukowych; tak opisanych, że przemawiają do każdego.

A już po latach, w Nowym Targu, poznałem pewnego człowieka, który gdzie mnie tylko spotkał, zaraz chciał ugwarzać. Nie wiedziałem, co go tak we mnie interesuje. Wreszcie nie wytrzymałem i spytałem. Odpowiedział, że czytał *Drogami skalnej ziemi* i ogromnie chciał mnie poznać. Widziałem, że pani Pieńkowska przykłada się bardzo serdecznie do spraw spiskich, to bardzo ją polubiłem, a może się i w niej zakochałem? Ja i dzisiaj jeszcze, gdy ktoś zajmuje się Spiszem, to bardzo takiego człowieka lubię.

Na przykład profesor Kazimierz Dobrowolski. To mój przyjaciel, jesteśmy na ty. Czasem telefonuję do niego do Krakowa, a on wciąż pyta o jedno i to samo: co słychać na Spiszu? Co słychać na Spiszu? Kiedy dowiedział się, że piszę pamiętniki, to podarował mi maszynę do pisania, bo moja dawna była już na nic. No, i łupię na tej maszynie ile sił.

W Łapszach Niżnych pomogłem założyć zespół regionalny. Nauczycielka, pani Kindlarska, namówiła mnie, żeby spisać zwyczaje weselne. I teraz grają to wesele. Próby prowadzi pani Kowalczyk, jej mąż jest prezesem koła Związku Podhalan. W Łapszach Wyżnych jest drugi zespół. Chcieliśmy, żeby nam pomógł, ale nic z tego nie wyszło. Szkoda. Przygotowaliśmy występ, pojechaliśmy do Bukowiny. Konferansjer w Domu Ludowym zapowiedział nas jako Słowaków. Ludzie byli bardzo rozgoryczeni, kobiety płakały. Dowiedzałem się o tym, pojechałem do Bukowiny porozmawiałem z tym człowiekiem. Obiecał, że listownie przeprosi. Pojechałem do Łapsz i wiadomością, że sprawa załatwiona. A ten młody człowiek, nie chcę wymieniać nazwiska, nie przeprosił do dzisiejszego dnia. Tak ludzie postępują, proszę was.

— O czym tu jeszcze? No, przecież o przewodnictwie. Emerytura nauczycielska, no... szkoda mówić ...Więc zostałem przewodnikiem. Mam pierwszą klasę przewodnicką — to najwyższy order, jaki można na Podhalu dostać.

Gdy prowadziłem wycieczki na Słowację, do Szczyrbskiego albo Smokowca, to przejeżdżając przez Jaworzynę wkładałem ciemne okulary.

Kiedyś, było to w 1968 roku wczesnym latem, na Słowacji wtedy wrzało, wybraliśmy się z przewodnikami na Gerlach. Wracaliśmy przez Polski Grzebień i dolinę Białej Wody. W Jaworzynie zatrzymaliśmy się w karczmie, niedziela była, siedzieli chłopi, śpiewali. Jeden z nich wstał, podszedł do mnie i pyta: „Wyście Pluciński? Ja do was do szkoły chodził". Ale koledzy zagadali, że ja nie Pluciński, a tamten machnął ręką i poszedł.

Opracował **ANTONI KROH**

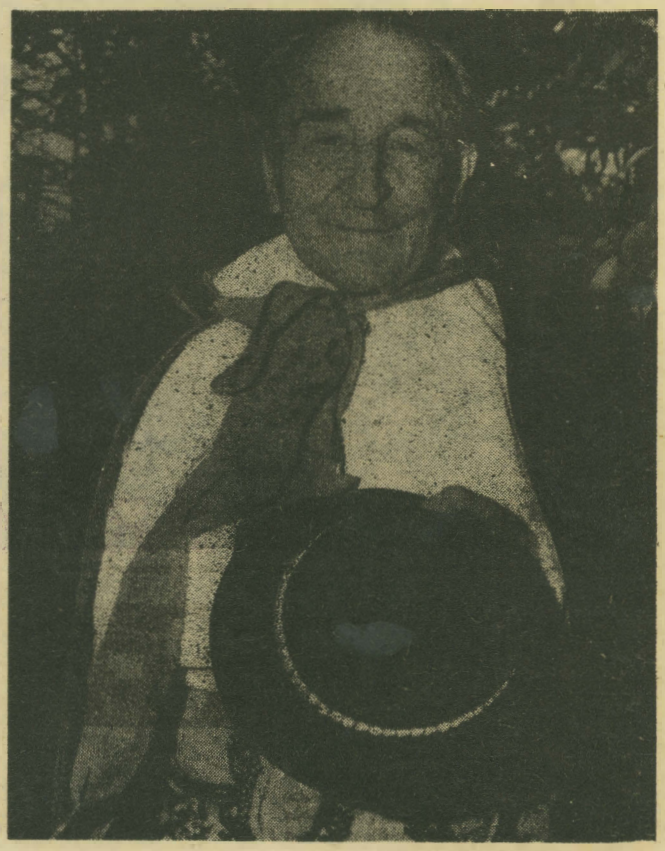

Fot.: WŁADYSŁAW WERNER

Antoni Kroh

POWTÓRKA ZE SPISZA

Spisz — kraina geograficzna i historyczna w Karpatach Zachodnich. Północną granicę Spisza wyznaczają Tatry Wysokie, rzeka Białka (wyjątek stanowi wieś Nowa Biała, leżąca na lewym brzegu Białki, lecz przynależna do Spisza), Dunajec, Małe Pieniny i górski grzbiet, schodzący od Eliaszówki do doliny Popradu, po czym wzdłuż rzeki na południowy wschód. A więc jadąc szosą z Piwnicznej do Muszyny widzimy za Popradem wsie spiskie. Natomiast Ruska Wola, sąsiadująca przez granicę z Leluchowem, należy już do Szarysza. Od południa ograniczają Spisz Rudawy Słowackie (Slovenské Rudohorie) oraz Niskie Tatry. Od zachodu Spisz sąsiaduje z Liptowem, obejmując kotlinę górnego Popradu.

Słowacka część Spisza — to około 3500 km², zamieszkałych przez około ćwierć miliona ludności; zaś skrawek w granicach Polski ma powierzchnię 195 km² z około dziesięcioma tysiącami mieszkańców.

Spisz od niepamiętnych czasów był pod względem narodowościowym bardzo różnorodny. Od północy kolonizowała go ludność polska, od południa słowacka, już w XIII wieku mieszkało tu sporo Niemców, następnie powstawały wsie rusińskie. Dodać również trzeba Węgrów i Żydów, zamieszkałych przede wszystkim w miastach. Spiszacy stanowili także mozaikę wyznaniową: były tu kościoły rzymskokatolickie i grekokatolickie, ewangelickie (jak choćby ów słynny w Kieżmarku), cerkwie prawosławne i synagogi.

We wczesnym średniowieczu granica polsko-węgierska na Spiszu ulegała wielokrotnym przesunięciom, stabilizując się na ponad trzy stulecia w roku 1412, kiedy to Zygmunt Luksemburski zastawił Władysławowi Jagielle okręg Lubowni z Gniazdami (Hniezdné) oraz trzynaście miast spiskich, zorganizowanych w starostwo. W roku 1769 cesarzowa Maria Teresa włączyła cały Spisz do Węgier. Stan ten trwał do roku 1918. W XIX wieku urzędnicy spiscy mówili po węgiersku i niemiecku, kler — po słowacku, zaś ludność używała po prostu „mowy", czyli swej miejscowej gwary. Na północnym Spiszu była to gwara polska, przechodząca ku południowi stopniowo w gwarę słowacką.

Oczywiście, ponad trzechsetletnia przynależność dużych połaci Szpisza do Polski nie mogła pozostać bez śladu. Zdarzyło mi się kiedyś, że na obozie naukowym etnografów pod Lubownią bawiłem się w tłumacza — bo słowaccy studenci, pochodzący z południa kraju, nie rozumieli takich słów, jak drabina, gont, portki, dach, itp.; słów, używanych powszechnie przez tamtejszą ludność wiejską.

Język — jedna rzecz, a świadomość narodowościowa — druga rzecz. Pewien stary góral, indagowany podczas drugiej wojny światowej o swą narodowość, odpowiedział: *„Urodziłem się w Jurgowie, to byłem Węgrem. Ożeniłem się w Bukowinie, to zostałem Austriakiem. Potem wybuchła Polska, więc zostałem Polakiem. A teraz mamy Generalne Gubernatorstwo, to już nie wiem, kim jestem. Pewnie gubernatorem".* Takie było uświadomienie znacznej części ludności. Lecz faktem jest niewątpliwym, że mieszkańcy północnego Spisza mieli stale kontakty ze swymi [illegible] i krakowskimi sąsiadami — od, choćby wyprawy na nowotarski jarmark czy pielgrzymki do Kalwarii i Częstochowy, które stanowiły np. okazję do zakupu polskiego modlitewnika.

Na ogół rzecz biorąc, ludność północnego Spisza nie miała przed rokiem 1918 rozbudzonej świadomości narodowej — ani polskiej, ani słowackiej. Między innymi dlatego nie doszedł do skutku plebiscyt spisko-orawski, planowany na rok 1920. Po latach dramatycznych zmagań, sporów, usilnej propagandy i krwawych incydentów — wytyczono w roku 1924 granicę, która nie zadowoliła żadnej ze stron. W okresie międzywojennym granica na Spiszu była wciąż „gorąca", wciąż dyskutowana. Najbardziej cierpieli na tym mieszkańcy pogranicznych wiosek, niepewni jutra, nierzadko odcięci od swych gruntów i lasów.

W roku 1938 strona polska zajęła Jaworzynę oraz kilka wsi pienińskich, zaś po niecałym roku, we wrześniu 1939, wojska tzw. państwa słowackiego opanowały cały Spisz. W ślad za nimi weszła słowacka administracja.

Podczas okupacji hitlerowskiej obywatele „państwa słowackiego" mieli się znacznie lepiej niż głodująca ludność Generalnej Guberni. Nie pozostało to bez wpływu na świadomość narodową Spiszaków.

Po rozgromieniu hitlerowców i rodzimych faszystów powrocono do granicy z lat dwudziestych. Jest ona aktualna do dzisiaj.

Jerzy Leśniak

POEZJA PRZYRODY

Pani **ANNA KMIECIK**, od siedmiu lat pracująca jako pedagog w Szkole Podstawowej numer 1 imienia Obrońców Poczty Gdańskiej w Rabce, pasjonuje się ludową ikebaną.

Przy entuzjastycznym współudziale dzieci z zespołu wyrównawczego szkoły podstawowej pani Ania zorganizowała kolejną świąteczną wystawę układów z gałązek świerkowych i szyszek. W kolorowo oświetlonej sali znalazły się oryginalne podłaźniczki, przedziwne pajączki i świerczki osadzone w glinianych miskach lub wkomponowane w wygięte korzenie. Wszystko to ustrojone srebrnymi łańcuchami, maleńkimi baniczkami i papierowymi koszyczkami. Bajkowa scenerią, las, krasnoludki, Czerwony Kapturek i Królewna Śnieżka.

Przygotowania do świątecznej wystawy rozpoczynają się już wczesną jesienią. Dzieci zbierają szyszki, korzenie, czyszczą je, przycinają. I potem okazuje się, że „malować" można nie tylko farbami. W kronice wystaw, mających już kilkuletnią tradycję. Miejski Dyrektor Szkół w Rabce, **TERESA JAWORSKA**, zanotowała: *...praca nad przygotowaniem wystawy i pożniejszy wspaniały efekt są przykładem wychowywania bez pompatycznych deklaracji, ale po prostu przez działanie w kontakcie z przyrodą...*

— Niektórzy mówią — zwierza się Anna Kmiecik — *że mam fioła na tym punkcie. Pukali się palcami po czołach, kiedy sama podczas wałcacji kopałam kilofem po ulicy Roztoki, aby obsadzić ją kwiatami i wykonać alpinarium na wysypisku śmieci... Praca nad przygotowaniem świątecznej wystawy dała dzieciom dużo radości, kształciła również ich intelekt. Podglądały, jak wykonuje się bardziej skomplikowane układy, potem w domu „zarażały" tym całą rodzinę. Trudno teraz będzie znaleźć w Rabce dom, ba, nawet urząd, w którym nie znajdowałyby się nasze kompozycje... Pomyślałby ktoś: cóż można zrobić z suchej łodygi, starego korzenia, gałązki świerkowej? A jednak... Rozbudzenie wrażliwości estetycznej młodzieży jest bardzo potrzebne i chyba najlepiej wychowuje.*

Pani Anna ma rację. Umiejętność dostrzegania piękna kształtów i barw trawy, liści, szyszek, igiełek świerkowych — to wielkie osiągnięcie każdego człowieka, szczególnie młodego. Posiąść zaś umiejętność wyboru i tworzenia nowych, harmonijnych układów to druga wartość, której uczą prace pokazane na tej wystawie. A przecież w kontakcie z przyrodą i tradycją kształtują się i inne cechy osobowości człowieka.

W dniu otwarcia zwiedzili wystawę rodzice i przyjaciele szkoły. Wszyscy wysłuchali apelu szkolnego zarządu koła Ligi Ochrony Przyrody wzywającego do ochrony łaców. I nie chodziło o walkę z obyczajem choinkowym, lecz o rozwagę w wycinaniu drzewek, które postawione w czas świąt w mieszkaniach, służą swym pięknem zaledwie kilka dni, a potem martwe są wyrzucane na śmietnik.

Długo będę pamiętał atmosferę świąt w rabczańskiej szkolnej świetlicy, jakieś wzajemne zbliżenie rodziców i dzieci, jakieś wspólne zamyślenie w obliczu Nowego Roku.

Elżbieta Glinka

ZAKOPIAŃCZYCY o „DUNAJCU"

W zakopiańskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki obchodzącym właśnie dwudziestolecie swej działalności na rzecz mieszkańców i gości tego miasta, wysłuchaliśmy opinii Czytelników „Dunajca" o naszym wspólnym nowosądeckim tygodniku.

● „Dunajec" to jeszcze niemowlę, a od niemowlęcia nie można za wiele wymagać. Z drugiej jednak strony — charakter kształtuje się od pierwszych dni życia, więc już teraz jest ważne, by „Dunajec" szedł właściwą drogą. Toteż problem numer jeden stanowi jednoznacznie określenie jego „profilu" czyli głównych, podstawowych dziedzin, jakie powinny być na łamach tygodnika poruszane. Dziś za mało, zdaniem Czytelników z Zakopanego, piszemy o problemach wiążących się z podstawowymi funkcjami regionu: turystyczną, wypoczynkową, uzdrowiskową. Problemem numer dwa jest określenie adresata, żeby nie pisać dla „wszystkich czyli dla nikogo".

● Czy powinniśmy być pismem regionalnym i co to ma oznaczać? Pisać o regionie czy dla regionu? Jakie problemy powinniśmy uznać za nadrzędne dla województwa, a więc i dla tygodnika? Ile miejsca poświęcić sprawom całego województwa, jego roli i zadań wobec kraju a ile — poszczególnym regionom? — oto kilka pytań, wokół których toczyła się dyskusja.

Jak zresztą ktoś to sformułował — profil czasopisma jest funkcją czasu i krystalizować się będzie w miarę upływu dni i tygodni, w miarę wydarzeń i pod wpływem uwag i życzeń Czytelników.

● Określenie „tygodnik PZPR" szczególnie zobowiązuje nas do rzetelnego prezentowania prawdy i spraw najżywotniejszych dla kraju, dla regionu. Jeden z obecnych na sali powiedział wręcz: „zarzuca się dziennikarzom, że byli dotychczas tchórzliwi. Chciałbym jednak widzieć w „Dunajcu" dziennikarzy tchórzliwych — takich, którzy będą się bali rozmijania z prawdą".

● Na łamach „Dunajca" za mało — zdaniem zakopiańczyków — materiałów krytycznych, odsłaniających błędy i nieprawidłowości współczesnego życia kraju. Były też uwagi pod adresem Antoniego Kroha, że jego „Krowa", trochę ostatnio schudła.

● Brak przeglądu aktualnych wydarzeń politycznych, społecznych, gospodarczych w świecie, kraju, województwie. Jeśli nawet nasz cykl produkcyjny (czas upływający między zebraniem materiałów a ukazaniem się tygodnika w kioskach) jest zbyt długi, to — zdaniem wielu osób — i tak warto te informacje dawać, może w formie komentarza, bo są potrzebne, zwłaszcza wobec braku na rynku wszelkich czasopism.

● Zbyt mało poświęcamy miejsca sprawom wsi — nie poszczególnych rolników, a wsi jako określonego środowiska z wszystkimi jego złożonymi problemami.

● Przydałby się zasadniczy artykuł odredakcyjny będący rodzajem komentarza do najważniejszych wydarzeń lub prezentacją najistotniejszych w danym momencie problemów regionu.

● Należałoby rozbudować dział, który nazwano „trybuną czytelników". Są listy, jest „proszę o głos", brak jednak ustosunkowania się redakcji do prezentowanych spraw, brak artykułów idących w ślad za tymi głosami.

● Niezbędne jest stworzenie stałego działu „Dunajca" poświęconego problemom turystyki i rekreacji, tak żywotnych dla województwa. Dotychczas są one zbyt słabo reprezentowane na łamach pisma.

● Interesuje zakopiańczyków, jak rozwinie się akcja Zbigniewa Siatkowskiego oraz jakie zajmie on stanowisko wobec literatury chłopskiej.

● Za mało poświęca „Dunajec" uwagi sprawom Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej, jak choćby odnowie u stop Tatr, nabrzmiałym problemom mieszkaniowym, Tatrzańskiemu Parkowi Narodowemu, Muzeum Tatrzańskiemu, Klubowi Literackiemu. Zarzucano „Dunajcowi" niestaranność języka, niestaranność korekty.

Nie wszystkie opinie podzielamy, ale uważamy, że spotkanie zakopiańskie dało nam wiele, bo pozwoliło po raz pierwszy, w żywej, bezpośredniej dyskusji z Czytelnikami skonfrontować nasze i ich nadzieje, jakie wiążemy z tygodnikiem. Chętnie dowiedzielibyśmy się także co sądzą o „Dunajcu" i czego po nim oczekują Czytelnicy z innych miejscowości.

27 sierpnia w Zespole Zakładów Budowlano-Remontowych Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Nowym Sączu ogłoszono strajk. Cała załoga zebrała się w niewykończonej, pozbawionej podłogi, świetlicy. Od 11 rano do 21 toczy się zażarta dyskusja. Padają ostre, pełne goryczy słowa.

12 września — zebranie założycielskie Niezależnego i Samorządnego Związku Zawodowego. Nikt jeszcze nie myśli o „Solidarności". Przyjeżdżają dwaj przedstawiciele Związków Branżowych z Rzeszowa. Są na sali tylko pięć minut. Zostają wygwizdani... Odchodząc, odgrażają się: — „my wam jeszcze pokażemy..." Rezultatem wysłanie go do Sądu Wojewódzkiego zebrania jest sformułowanie statutu i w Warszawie — jednego z pierwszych statutów, jakie tam wpłynęły. Jednak po nawiązaniu kontaktu z „Solidarnością" związkowcy z Zakładów swój wniosek wycofują. Powoli zaczynają współpracować z innymi zakładami na terenie województwa. Dochodzi do utworzenia Komitetu Koordynacyjnego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" w Nowym Sączu. Do pracy w Komitecie zostają oddelegowani dwaj działacze: Jan Budnik i Jerzy Gwiżdż.

* * *

10 grudnia odbywają się wybory do Komisji Zakładowej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" przy Zespole Zakładów Budowlano-Remontowych w Nowym Sączu. „Dunajec" jest przy tym obecny.

— *Zaprosiliśmy was, bo pisaliście o nas od samego początku* — wyjaśniają przedstawiciele sądeckiej „Solidarności" Jan Budnik i Jerzy Gwiżdż.

W odświętnie udekorowanej sali zbity tłum robotników. Słychać głosy: — *dlaczego jeszcze nie zaczynacie, ile tu mamy siedzieć, solidarni, ale nie w godzinach.*

Organizatorzy wyjaśniają, że nie ma jeszcze wszystkich — są dowożeni z różnych zakładów. Wreszcie około 10.30 zebranie zaczyna się.

Jan Budnik, na podstawie statutu „Solidarności", omawia jej cele i zadania. — *Czym właściwie jesteśmy? Związkiem Zawodowym — niczym więcej! Pierwszy paragraf naszego statutu wymienia dokumenty, w oparciu o które działamy: Konstytucję PRL, dwie Konwencje Światowej Organizacji Pracy i Porozumienie Gdańskie. Jesteśmy niezależni i samorządni, to znaczy między innymi, że decyzje podejmowane na szczeblu zakładu pracy mają charakter wiążący i nikt nie ma prawa ich naruszyć.*

Zaznacza: — *...żeby później nie było nieporozumień: wstępując do związku nie przychodźcie „po coś", ale z „czymś". Gdy ktoś spyta: co mi da „Solidarność"? mamy tylko jedną odpowiedź: nic, poza możliwością uczciwej pracy w duchu odnowy.* — Jan Budnik mówi wyraźnie: chodzi głównie o odnowę moralną i ekonomiczną. Sytuację naszej gospodarki przyrównuje obrazowo do człowieka tonącego w wirze, dla którego jedyną szansą uratowania życia jest zejście na dno i odepchnięcie się od twardego podłoża. — *My również* — podkreśla — *musimy znaleźć takie twarde podłoże dla naszej gospodarki, lecz zanim nam się to uda, przez najbliższe dwa lata będzie gorzej niż jest. Najważniejsza jest zmiana mentalności społeczeństwa i wychowanie młodzieży w duchu nowych wartości. To będzie wielkie zadanie dla odnowionej i zreformowanej oświaty, a także dla rodziny. Podstawowym warunkiem odnowy jest przeciwdziałanie naszym największym wadom narodowym, to znaczy alkoholizmowi i złodziejstwu.*

Na zakończenie Jan Budnik mówi: — *W procesie odnowy wiele będzie zależeć od tych, których wybierzemy jako naszych reprezentantów. Znacie się dobrze między sobą, wiecie, na kogo można liczyć, więc nie powinniście mieć kłopotów z wyborem właściwych ludzi.*

Jerzy Gwiżdż poświęca swoją wypowiedź przedstawieniu działalności Komitetu Koordynacyjnego:

— *Od 17 października udostępniono nam lokal przy ulicy Zygmuntowskiej. Mimo nie najlepszych warunków nie narzekamy. Mamy chęć do pracy i pracujemy. Wielokrotnie zapraszano nas do KW PZPR. O czym rozmawiamy? O uczciwości, o autorytecie władzy. Ale przede wszystkim o gospodarce, o potrzebie ograniczenia niektórych inwestycji. Odwiedziliśmy też księdza biskupa ordynariusza Jerzego Ablewicza, ponieważ nie chcemy całkiem zrywać z tradycją, zwłaszcza wartościową. Byliśmy również w Gdańsku, niestety z Lechem Wałęsą zamieniliśmy tylko parę słów, śpieszył się na spotkanie z Komisją Rządową. Za to długo rozmawialiśmy z Andrzejem Gwiazdą, zastępcą przewodniczącego Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Ustaliliśmy, że będziemy mieć w Gdańsku swojego przedstawiciela.*

Po tych wypowiedziach przedstawicieli Komitetu Koordynacyjnego są puszczone w obieg: lista obecności oraz deklaracja „Solidarności". Naraz dają się słyszeć z sali wzburzone okrzyki: — *Patrzcie, uciekają, trzeba ich zatrzymać, przecież jak pójdą, wybory się nie odbędą!*

Co się stało? Oto, korzystając z zamieszania wywołanego wypełnianiem deklaracji, kilkunastu pracowników... ulotniło się z zebrania. Część zawrócono, ale około trzydzieści osób z ponad dwustu pracowników opuściło salę.

Wyrażając stanowisko wszystkich pozostałych zebranych, Jerzy Gwiżdż mówi z goryczą: — *Smutna rzecz, nie wszyscy państwo zrozumieli, co to jest „Solidarność". To co się zdarzyło, jest skandaliczne. Wiedząc, że wielu z was mieszka poza miastem, zorganizowaliśmy zebranie w godzinach pracy, a tymczasem niektórzy postępują jak niesforni uczniowie, którzy gdy tylko nauczyciel spóźni się kilka minut, uciekają z lekcji. Wielkim nieporozumieniem jest, że właśnie tacy zapisali się do naszego Związku. Znamienne, że tych nie ma, którzy zawsze najwięcej mają do powiedzenia.*

Jednogłośnie zapada decyzja, by po wyborach, przed wyjściem z sali, poszczególni kierownicy sprawdzili obecność swoich pracowników.

Rozpoczyna się zgłaszanie kandydatur do Komisji Zakładowej. Każdy zgłaszający musi uzasadnić swój wybór: te charakterystyki nie są zbyt urozmaicone: „uczciwy" i „zdyscyplinowany" i tak w koło, bodajże tylko raz ktoś wymienił „inicjatywę w działaniu". Odnoszę wrażenie, jakby kandydatur nie przemyślano; a może sprawia to naturalna trema przed publicznym wystąpieniem?

Kilka osób nie wyraża zgody na kandydowanie, tłumacząc się brakiem czasu na pracę społeczną, bądź krótkim stażem pracy, bądź nie uzasadniając w ogóle swojej decyzji.

— *Tak, rezygnujcie, najlepiej zwalić odpowiedzialność na drugiego!* — krzyczą z sali.

Około południa lista zostaje zamknięta, kartki rozdane. Przerwę poświęconą na pracę Komisji Skrutacyjnej wykorzystuje się na ustalenie składu kasy zapomogowo-pożyczkowej. Zgodzono się też na przyłączenie do tutejszej organizacji dwudziestoośmioosobowej grupy solidarnościowców z Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Jan Budnik informuje o podejmowanych w ostatnim czasie przez Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność" działaniach służących rozładowaniu trudnej sytuacji na punktach skupu naszego województwa. Między innymi dlatego załoga zakładów Miesnych w Nowym Sączu od 9 grudnia pracuje o trzy godziny dłużej. Zebranych zapoznaje się również z treścią teleksów wysyłanych do Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług o zwiększenie przydziału mięsa dla naszego województwa na okres świąt.

Korzystając z obecności dyrektora Zespołu Zakładów Budowlano-Remontowych robotnicy pytają o nurtujące załogę problemy: nowy cennik akordowy; dodatek za wysługę lat; termin ukończenia bloku przy ulicy Hallera; zorganizowanie szatni i łaźni na budowie osiedla na Wólkach; marnotrawstwo sprzętu na budowach; konsekwencje, jakie mają być wyciągnięte w stosunku do pracowników, którzy uciekli z zebrania.

Komisja Skrutacyjna podaje wyniki pierwszego głosowania: tylko cztery osoby otrzymały wymaganą liczbę głosów; głosują ponownie. Dopiero trzecie głosowanie ustala skład Komisji Zakładowej.

Pozostał jeszcze wybór przewodniczącego. To formalność, bo już pierwsze głosowanie ujawniło faworyta: Andrzeja Lupę. On właśnie zostaje szefem jedenastoosobowej Komisji Zakładowej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność" przy Zespole Zakładów Budowlano-Remontowych Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Nowym Sączu.

Zebrani uchwalają, że szef nie będzie na etacie, aby nie tracić kontaktu z załogą. Powołano natomiast etatowego sekretarza, który ma załatwiać całą „papierkową robotę".

Dziękując za okazane zaufanie nowo wybrany przewodniczący mówi:

...wymagajcie od nas, lecz również bądźcie pobłażliwi. Solidarności będziemy się uczyć wspólnie. Ze swej strony obiecuję, że Dyrekcja nie będzie mieć z nami łatwego życia.

Zebranie kończy odśpiewanie Hymnu państwowego.

Jest już całkiem ciemno, gdy opuszczamy zakład. Jan Budnik mówi: — *W porządku, jakoś poszło: sądziłem, że będzie gorzej. Brałem już udział w zebraniach, na których siedmiokrotnie głosowano na komisję, a czterokrotnie na przewodniczącego. A tutaj obyło się bez większych problemów. Najbardziej boli mnie to, że jeszcze są w naszych szeregach ludzie, którzy wstąpili do „Solidarności" pod wpływem chwilowej emocji. To oni opuszczają zebrania jak dzisiaj. Z drugiej strony nie ma czego żałować — potrzebni nam są ludzie wewnętrznie przekonani, że ich miejsce jest w szeregach „Solidarności".*

Danuta Binek

Solidarności też trzeba się uczyć

— *Słyszeliśmy o Rabce, Krynicy, ale żeby jakaś Korzenna..* tymi słowy podsumowano w Głównej Kwaterze Związku Harcerstwa Polskiego wyniki tegorocznej Nieobozowej Akcji Letniej, w której miano najlepszego hufca zdobyli harcerze z Korzennej.

Czym jest ta nieobozowa Akcja Letnia?

Określając krótko powiedzmy: szansą dla dzieci wiejskich. O ile bowiem dzieci robotnika czy inżyniera, dzięki staraniom zakładów pracy, korzystają z kolonii, to wiejskie praktycznie wakacyjnego odpoczynku do niedawna nie znały.

I właśnie harcerze — jako pierwsi — zatroszczyli się o swoich kolegów mieszkających na wsi, podejmując przed jedenastoma laty Nieobozową Akcję Letnią. Obecnie jest to najpopularniejsza i najtańsza, bo w miejscu zamieszkania, forma spędzania wakacji.

W czym tkwi tajemnica popularności N[illegible]

Danuta Binek

HARCERZE Z KORZENNEJ

Mówi komendantka zwycięskiego hufca z Korzennej, Krystyna Urygа:

— *Najważniejsze dla dziecka jest przeżycie w czasie wakacji jakiejś odmiany, przygody. Marzy o tym przez dziesięć miesięcy w szkole. Przy dobrej woli, chęci i odrobinie wyobraźni przygodę można przeżyć i na własnym podwórku. Trzeba tylko dzieciom pomóc.*

Co robili tego roku? Trudno wszystko zapamiętać, ale spróbujmy. Zorganizowano: Klub Wakacyjnej Książki, spotkania z ludźmi dobrej roboty, zawody sportowe, biwaki w Piątkowej oraz Bukowcu — mimo zimna i deszczu młodzież była bardzo zadowolona. W okresie wzmożonych prac polowych pomagali rodzicom w ramach akcji „każdy kłos na wagę złota" oraz poprzez „zielone przedszkola", w których starsze dziewczynki opiekowały się maluchami. Młodzież zadbała również o rozrywkę dla swoich rozdziców, np. robiąc „biwak dla mamy i taty".

Jaką receptę można podać na zwycięstwo w Nieobozowej Akcji Letniej? Instruktorka harcerska z Lipnicy, Stanisława Rój:

— *Najważniejsza jest dobra, ofiarna praca. Chociaż nie zawsze wystarczają dobre chęci. Nam, instruktorom nie wszystko idzie jak po maśle. Powiem na przykładzie Lipnicy: przede wszystkim nie mamy gdzie się spotykać z dziećmi, bo w szkole jest kolonia. Gdy pogoda w miarę dopisuje, spotykamy się przed Domem Nauczyciela, ale gdy pada, trudno coś znaleźć. Dodatkowy kłopot mieliśmy z kupnem „Gazety Południowej", gdzie w każdy czwartek drukowano nowe zadania dla drużyn biorących udział w Akcji. Do naszego kiosku przychodziły tylko dwie gazety i żeby któraś dostać należałoby od wczesnego ranka czekać pod kioskiem. Prenumeraty w żaden sposób nie dało się załatwić.*

Za zwycięstwo w NAL hufiec w Korzennej dostał pięćdziesiąt tysięcy złotych. Przeznacza je na pole biwakowe we wsi. Mają już sprzęt wartości osiemnastu tysięcy złotych, ale jak do tej pory nie wiadomo gdzie go przechowywać.

W chwili obecnej przed harcerzami stanęło ważne zadanie zorganizowania kolejnego tzw. „dochodzącego zimowiska". Wśród dzieci z okolicznych wsi cieszy się ono dużą popularnością. Gdy w ubiegłym roku zaspy na drodze uniemożliwiły przejazd autobusem, młodzież z Jasiennej szła piechotą trzy kilometry. Mówiła, że i tak im się to opłaca, bo mogą się uczyć i wypoczywać.

Nie ma właściwie takiej dziedziny życia w mieście czy na wsi, takiej sprawy społecznej czy ważnego zadania, którego nie podjęliby się harcerze. W codziennym działaniu zawsze, na miarę swoich możliwości, uczestniczą w „harcerskiej szkole życia", tak wyrażają swój patriotyzm, uczą się dyscypliny, odpowiedzialności, zaangażowania. Harcerze są wszędzie. Zawsze przy tym roztańczeni, rozśpiewani, za pan brat z przygodą, ale za tą przygodą kryje się wiele prawdziwej, choć łatwo i przystępnie podawanej mądrości.

Z różnych stron świata

Ale kara...!

Niecodzienny wyrok wydał nowojorski sędzia Gordon na 20-letniego Thomasa Sautha. Dał mu do wyboru — albo zapłaci 30 dolarów kary, albo policja wymyje mu usta mydłem i szczotką.

Młody człowiek zgodził się na mycie, co było zabiegiem dość bolesnym. Kara spotkała go za to, że ubliżył policjantowi, który akurat miał służbę.

•

Męska „siostra"

Brytyjczyk Kevin Raflings ukończył szkołę pielęgniarską ze specjalnością opieki nad dziećmi i został zatrudniony w szpitalu w Defordshire. W gronie 24 koleżanek, z którymi przyszło mu pracować, nie czuje się wcale dyskryminowany, mimo że wykonywany przez niego zawód uchodził dotąd za wyłącznie kobiecy.

Szef kliniki, oceniając jego pracę powiedział, że Kevin jest doskonały, świetnie sobie radzi z dziećmi. Pierwsza na wyspach brytyjskich męska „siostra" od dzieci, wywołuje sensację.

•

„Podwójne życie" inspektora

Sąsiedzi nadinspektora policji, Heinza Sanglina z Kempton (RFN), byli bardzo zdziwieni, że z pensji mógł on nabyć luksusową willę, żaglówkę, motorówkę, samochody oraz mógł prowadzić wystawne życie.

W końcu wyszło szydło z worka. Pan inspektor po pracy napadał na ludzi, obrabowywał przedsiębiorstwa i instytucje. Do złodziejskiego rzemiosła używał on cienkich rękawiczek plastykowych, ale nie zauważył, że jedna z rękawiczek była dziurawa. Na miejscu poważnego przestępstwa znaleziono odciski palca pana inspektora.

•

Nie natrafił na dobry stek

Bogaty przemysłowiec z Nowego Jorku Maurice Dreier już od 30 lat poszukuje idealnego steku, który by mu naprawdę smakował. Przemysłowiec odwiedził już 82 kraje, zjadł tysiące steków z różnych kuchni, lecz jeszcze nie natrafił na swój ideał smakowy.

Nie naśladować!

PREZES jednego z wielkich koncernów samochodowych tak oto otworzył posiedzenie rady dyrekcyjnej:

— *Wszystkich, którzy sprzeciwiają się planowi, jaki za chwilę przedstawię, proszę o wyrażenie tego słowami: podaję się do dymisji!*

WYBRAKA BEATA DEMBOWSKA ROZMAITOŚCI

Lodowe ciekawostki

Tajemnicza Antarktyda

Naukowcy dokonali nowego, ważnego kroku na drodze do poznania tajemnic lodowego kontynentu — Antarktydy. Przy zastosowaniu nowej aparatury wiertniczej, zdołano wywiercić otwór o głębokości 410 m i szerokości 25 cm w skorupie lodowej. Nie wyklucza się tam prymitywnych form życia.

Rekordowy mróz

Rok 1976 okazał się rekordowo zimny — odkąd prowadzi się obserwacje meteorologiczne na polarnej stacji Amundsen-Scott położonej na biegunie południowym. Średniodobowa temperatura w ciągu całego tego roku wynosiła —50 stopni C, a więc o trzy dziesiąte stopnia mniej, niż wynosił dotychczasowy rekord zimna.

Kwitnąca góra

Na górze Mc Kinleya na Alasce można zobaczyć niezwykłe zjawisko znane botanikom jako krwiowegetacja czyli kwitnienie lodów. W różnych porach roku lodowiec pokrywający szczyt i stoki tej góry zmienia swoje zabarwienie. Czasami ma kolor czerwony, kiedy indziej brunatny lub zielony. Naukowcy badający to zagadkowe zjawisko orzekli, że wywołane jest ono przez mikroskopijnej wielkości rośliny należące do prymitywnej grupy glonów rozpowszechnionych niemal na całym świecie.

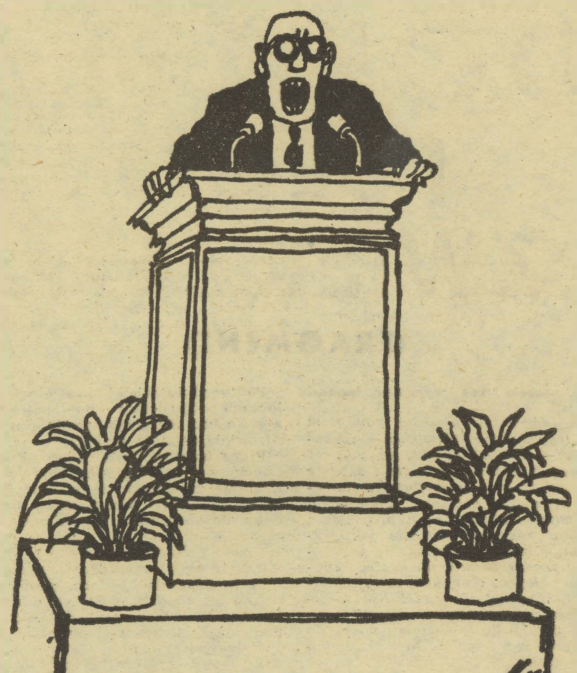

ZBIGNIEW ZDZIECKI

— W pierwszych słowach mojego p o m ó w i e n i a... „Szpilki"

HOROSKOP

Znaki niebieskie

Baran (21.III—20.IV)

Dla urodzonych pod Baranem
najlepszym ze znaków
jest chyba to, że nie ma w i l k a
wśród znaków zodiaku.

Byk (21.IV—21.V)

Jak każdy inny znak pozwala
dojść do osiągnięć i wyników
pod tym warunkiem tylko, że się
nie b y c z y i nie strzela b y k ó w.

Bliźnięta (22.V—21.VI)

Kto by tam o nich dziś pamiętał —
niewiele wróżą dziś Bliźnięta;
to znak, co spadł do roli znaczka
po naszych gdańskich
pięcioraczkach.

Rak (22.VI—22.VII)

Pod znakiem R a k a też żyć
można,
należy tylko uważać, aby
wskutek skłonności naturalnych
nie zacząć od d r u g i e j sylaby.

Lew (23.VII—22.VIII)

Najgorzej, gdy ryczy
i udaje władcę
człowiek urodzony
pod znakiem lwa w k l a t c e.

Panna (23.VIII—22.IX)

Kawaler pod znakiem
Panny urodzony
żył będzie jak wszyscy:
pod pantroflem ż o n y.

Waga 23.IX—23.X)

Tu rzecz się sprowadza
do jednej uwagi:
zważać na j ę z y c z e k —
nie tylko u w a g i.

Skorpion (24.X—22.XI)

Co najgorsze być może
pod znakiem Skorpiona?
Razem: mąż jadowity —
i jadowita żona.

Strzelec (23.XI—21.XII)

Panu Bogu w okno
może trafić Strzelec,
jeśli sobie stawia
zbyt o d l e g ł e cele.

Koziorożec (22.XII—20.I)

Koziorożec to zwierzę chronione,
więc się nie lękaj o życie i zdrowie;
oczywiście pod jednym warunkiem:
że postępować będziesz jak
człowiek.

Wodnik (21.I—20.II)

Najlepsza rada dla Wodnika:
zanieczyszczonych wód niech unika?
groźna jest także, rzecz oczywista,
jak dla każdego: w ó d k a czysta.

Ryby (21.II—20.III)

Urodzony pod tym znakiem
nie powinien być rybakiem;
no bo, czego nie daj Boże,
własną gwiazdę złowić może!

Podstępy postępu

● *Brak nam energii; zwłaszcza w zimie. A jednak całą mroźną zimę pracują w mieszkaniach... lodówki! Lodówka bowiem jest symbolem POSTĘPU, natomiast szafka pod oknem to zacofanie: samo słowo „szyber" wystarczy, by nowoczesny mieszczuch nie chciał mieć w domu takiego urządzenia.*

● *Wszyscy narzekamy, że telewizja to guma do żucia dla oczu, że niszczy sztukę konwersacji, życie rodzinne, marnuje czas, ujednolica styl, ale niech ktoś spróbuje serio (co niniejszym czynię) zaproponować dwa dni w tygodniu b e z telewizji. Kamerzyści, inspicjenci, spikerzy i inni będą mieć frajdę — a my odetchniemy i zaoszczędzimy trochę elektryczności. Podobno kiedyś TVP odwiedziła Rozdzielnię Mocy i reporter poprosił widzów, by zgasili w mieszkaniu jedną żarówkę — od razu obciążenie spadło, co by dopiero było, gdyby wyłączono kineskopy!*

● *Czy jakaś Nowoczesna Kobieta siądzie do cerowania skarpetek, gdy przez ten czas może w inny sposób zarobić więcej niż cerowane skarpety są warte? Nie siądzie — i wcale jej do tego nie namawiam! Pragnę tylko z całym naciskiem podkreślić że jakakolwiek oszczędność surowców nie jest możliwa w sytuacji płac wyższych niż koszt odzysku surowców wtórnych!*

● *Do marnotrawstwa jesteśmy przyzwyczajeni od kołyski. Sklepy zawalone są zabawkami, tyleż kolorowymi, co tandetnymi. Darmo pedagodzy ręce załamują i wołają o limitowanie zabawek: każde europejskie dziecko w rodzinie nieocierającej się o nędzę, ma ich cały stos: wszystkie zresztą popsute — żadnej ukochanej, żadnej cenionej, trwałej — do której można by się było przywiązać.*

● *W pralce automatycznej z powodu zwarcia, bez zbadania, wstawia się nowy programator za 1500 zł — przy czym przyznać trzeba, że naprawiający robią to równie chętnie na koszt użytkownika jak i gwarancji!*

● *Gdy byłem dzieckiem, ulubioną mą zabawką był rozpylacz babci. Dwie rureczki, dysza, gumowa pompka. Wkręcało się to do buteleczki — i psiup, psiup! — można było opryskać się od stóp do głowy. Koszt takiego urządzenia nie przekraczałby dziś czterdziestu złotych — i każda pani mogłaby kupić sobie trzy takie — by nie mieszać zapachów.*

Zamiast tego kupujemy co tydzień kilka opakowań za kilkadziesiąt złotych. Zawierają one płynu za piątaka, freonu za drugie pięć — reszta to koszt produkcji jednorazowego opakowania. Wszystko to po jednorazowym użyciu wędruje na śmietnik. Najdowcipniejsze, że opakowania te są niebezpieczne, zawodne, używane areozole szkodzą (w USA rozważa się zakaz areozoli, gdyż zagrożona jest górna warstwa atmosfery!) a w dodatku są rakotwórcze!

Czas na podsumowanie. Cywilizacja jest chora. Nie oszukujmy się: nic tu nie pomoże bogactwo! Nawet szejkowie naftowi toną po uszy w długach, gdyż zarażeni tą chorobą porzucali szczerozłote samochody, gdy tylko wypełniały się im popielniczki. Nie jest tu winien żaden system: naprawdę nikt nie zmuszał nas dwadzieścia lat temu do wyrzucania foteli po dziadkach i kupowania na ich miejsce ohydnych metalowo-plastykowych erzatzów, niewygodnych, trzy razy droższych — ale NOWOCZESNYCH.

JANUSZ KORWIN-MIKKE

Hugh Lofting

DOKTOR DOLITTLE I JEGO ZWIERZĘTA

(FRAGMENT)

Przywódca Lwów

Jan Dolittle miał teraz ogromnie dużo roboty. Zastał setki i tysiące chorych małp — goryli, orangutanów, szympansów, pawianów; małp szarych rudych, małp najrozmaitszego gatunku. A dużo z nich już przedtem umarło.

Pierwsza rzeczą, jaką zrobił, było oddzielenie małp zdrowych od chorych. Potem polecił Czi-Czi i jej krewnym, aby mu zbudowały małą chatkę z trawy, i rozkazał wszystkim małpom, które były jeszcze zdrowe, aby przyszły do niego na szczepienie.

Przez trzy dni i przez trzy noce przychodziły bez przerwy małpy z lasów, gór i dolin do małej chatki z trawy, gdzie doktor siedział dniem i nocą, i szczepił, szczepił, szczepił.

Potem kazał zbudować jeden dom, wielki dom o wielu łóżkach, i przenieść do niego wszystkie chore małpy.

Ale tak dużo było chorych małp, że nie wystarczyło zdrowych do ich pielęgnowania; doktor posłał więc gońców do innych zwierząt: lwów, lampartów i antylop, prosząc je, aby przyszły i pomogły mu pielęgnować chore małpy.

Wódz lwów był jednak bardzo dumnym stworzeniem i kiedy przybył do wielkiego domu doktora, zapełnionego tyloma łóżkami, rozgniewał się i obraził.

— *Jak, pan śmie, mój panie, żądać ode mnie czegoś podobnego?!* — ryknął obrzucając doktora wściekłym spojrzeniem.

— *Jak pan śmie żądać ode mnie, króla zwierząt, abym obsługiwał czeredę brudnych małp?! Nie pożarłbym ich nawet wtedy, gdybym był bardzo głodny.*

Chociaż lew wyglądał straszliwie, doktor starał się nie okazywać po sobie przerażenia.

— *Nie wezwałem pana wcale po to, aby pan pożerał małpy* — odrzekł spokojnie. — *A poza tym nie są one wcale brudne. Wszystkie kąpały się dziś rano; natomiast sierść ich należałoby koniecznie wyszczotkować — koniecznie. Chcę panu tylko jedno powiedzieć — może nadejść dzień, kiedy i lwy się rozchorują. A jeśli teraz nie pomożecie innym zwierzętom, może się zdarzyć, że zostaniecie same w biedzie. Tak często z pyszałkami bywa.*

— *Lwy nie będą nigdy w biedzie. Lwy tylko innym sprawiają biedę* — odpowiedział wódz lwów. Zmarszczył nos i czując się mądrym i dzielnym pomaszerował dumnie z powrotem do puszczy.

Wtedy lamparty także okazały się dumne i powiedziały, że nie będą pomagać małpom. Wtedy antylopy, ma się rozumieć, chociaż były zbyt nieśmiałe i lękliwe, by się zachować wobec doktora tak niegrzecznie jak lew, zaczęły przebierać nóżkami, uśmiechać się głupkowato, mówiąc, że nigdy dotąd nie były pielęgniarkami chorych.

Doktor zmartwił się ogromnie, bo nie miał pojęcia, skąd wziąć dostateczną pomoc dla pielęgnowania tylu małp.

Skoro jednak wódz lwów wrócił do swego mieszkania, wybiegła mu naprzeciw jego żona, królowa lwów, z rozwianą grzywą.

— *Jedno z naszych lwiątek nie chce jeść* — powiedziała. — *Nie wiem, co mam z nim począć. Od wczoraj wieczór nie wzięło ono kęsa do ust.*

I ze zdenerwowania zaczęła głośno szlochać i drżeć — była dobrą matką, mimo że była lwicą.

Wódz lwów wszedł do mieszkania i spojrzał na swoje dzieci — dwa rozkoszne, maleńkie lwiątka leżące na podłodze. Jedno z nich wyglądało żałośnie.

Kiedy lew opowiedział żonie z dumą, jaką odpowiedź dał doktorowi, lwica rozgniewała się strasznie.

— *Nigdy nie miałeś ani szczypty rozumu!* — krzyknęła. — *Wszystkie zwierzęta aż po Ocean Indyjski opowiadają sobie cuda o tym człowieku — jak on potrafi każdą chorobę wyleczyć i jaki on uprzejmy, jedyny człowiek na całym świecie, który rozumie mowę zwierząt. I teraz gdy nasz malec choruje, ośmielasz się go obrażać! Ty bałwanie! Tylko głupiec może zachować się tak bezczelnie wobec dobrego doktora. Ty!*

I zaczęła mu wyrywać łapami sierść.

— *Idź natychmiast z powrotem do tego białego człowieka* — rozkazała — *i powiedz mu, że żałujesz swego postępku. I zabierz z sobą te wszystkie inne pustogłowe zwierzęta, te głupie antylopy i lamparty! A potem róbcie wszystko, co wam doktor rozkaże. Harujcie jak Murzyni! Może udobrucha się w końcu i zechce zajrzeć do naszego chorego chłopca. Wynoś się w tej chwili! Spiesz się, słyszysz?! Nie zasługujesz na to, aby być ojcem!*

I poszła do sąsiedniej nory, do drugiej lwicy matki, aby się przed nią użalić.

Wódz lwów zaś wrócił do doktora i powiedział:

— *Przechodzę przypadkiem tędy, chciałem więc zajrzeć do pana; czy pan znalazł już pomoc?*

— *Nie* — odrzekł doktor strapiony — *jeszcze nie, jestem wprost zrozpaczony.*

— *W dzisiejszych czasach trudno jest o pomoc* — mówił lew. — *No, ponieważ jest pan w trudnym położeniu, uczynię chętnie wszystko, co mogę, jedynie dla pańskiej przyjemności. Polecitem też wszystkim zwierzętom, aby tu przyszły i pomogły panu. Lamparty będą tu za kilka minut... Aha, prawda, byłbym zapomniał. Mamy w domu chore dziecko. Nie sądzę, żeby mu coś dopraw du dolegało, lecz moja żona jest nerwowa i niepokoi się. Gdyby pan był przypadkiem dziś wieczór w naszej okolicy, może zajrzałby pan do niego — dobrze?*

Doktor był bardzo szczęśliwy, bo wszystkie lwy, lamparty, antylopy, żyrafy i zebry — wszystkie zwierzęta z lasów, gór i dolin — przybyły, aby mu pomóc. A przyszło ich tyle, że musiał odesłać niektóre z powrotem i zostawił tylko najzręczniejsze.

Wkrótce małpy zaczęły wracać do zdrowia.

Po tygodniu wielki dom o wielu łóżkach opustoszał do połowy, a z końcem drugiego tygodnia wyzdrowiała ostatnia małpa.

Praca doktora była więc ukończona; on sam jednak był tak strasznie zmęczony, że położył się na łóżku i spał bez przerwy trzy doby nie obróciwszy się ani razu.

Narada małp

Czi-Czi stała przed drzwiami doktora i odganiała każdego, póki się doktor nie zbudził. A gdy się wreszcie Jan Dolittle wyspał, oświadczył małpom, że teraz musi powrócić do Puddleby.

Ta wieść zaskoczyła je, sądziły bowiem, że doktor pozostanie u nich na zawsze, i następnej nocy zebrały się w puszczy, aby omówić tę sprawę.

Naczelnik szympansów powstał i zabrał głos:

— *Dlaczego ten dobry człowiek chce od nas odejść? Czy nie jest tutaj szczęśliwy?*

Lecz nikt nie mógł dać mu na to odpowiedzi.

Potem podniósł się wódz goryli i powiedział:

— *Sądzę, że powinniśmy wszyscy udać się do niego i prosić, aby tutaj pozostał. Może, o ile wybudujemy mu nowy obszerny dom z większym łóżkiem i obiecamy mu obsługę małpią, która będzie na niego pracować i umilać mu życie — może wtedy nie będzie chciał od nas odejść.*

Wtenczas powstała Czi-Czi, a inne małpy zaczęły szeptać:

— *Psyt! Uwaga! Czi-Czi, wielki podróżnik chce mówić!*

Czi-Czi zwróciła się do małp i oświadczyła:

— *Moi przyjaciele, obawiam się, że daremne będą wasze prośby. Doktor jest winien w Puddleby pieniądze, dlatego chce wrócić i spłacić długi.*

Małpy zapytały chórem:

— *Co to są pieniądze?*

Więc Czi-Czi opowiedziała im, że w kraju białych ludzi nie można dostać niczego bez pieniędzy. Bez pieniędzy nie można w ogóle się ruszyć. Życie bez pieniędzy jest prawie niemożliwe.

Kilka małp zawołało:

— *Czy nie można przynajmniej jeść i pić bez płacenia za to?*

Czi-Czi potrząsnęła przecząco głową i opowiedziała, jak to nawet ją wyuczono prosić dzieci o pieniądze, kiedy wędrowała po świecie z katarynarzem.

Na to zwrócił się naczelnik szympansów do najstarszego orangutana i rzekł:

— *Mój kuzynie, cóż to za dziwne stworzenia z tych ludzi! Kto by z nas chciał żyć w takim kraju! Jakież to okropne!*

Czi-Czi mówiła dalej:

— *Kiedy wybraliśmy się do was, nie posiadaliśmy własnego statku, na którym moglibyśmy jechać przez morze, ani pieniędzy na zakup żywności potrzebnej w drodze. Więc pewien człowiek pożyczył nam trochę sucharów i przyrzekliśmy zapłacić mu po powrocie. Również i statek pożyczyliśmy od pewnego żeglarza, ale rozbił się nam na skałach, gdy dobijaliśmy do wybrzeża Afryki. Otóż doktor jest zdania, że musi wrócić do swojej ojczyzny i odkupić marynarzowi nowy okręt, gdyż człowiek ten jest biedny i okręt był jego jedynym majątkiem.*

Małpy milczały chwilę, siedziały cicho na ziemi i rozmyślały, co czynić.

W końcu powstał najstarszy pawian i powiedział:

— *Mojm zdaniem, należy temu zacnemu człowiekowi dać przed wyjazdem piękny podarunek, aby wiedział, że wdzięczne mu jesteśmy za wszystko, co dla nas uczynił.*

A maleńka, ruda małpka, siedząca na drzewie, przytaknęła:

— *Jestem tego samego zdania!*

I wtedy małpy zaczęły wołać wszystkie razem wśród ogólnego hałasu:

— *Tak, tak, podarujemy mu najpiękniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek posiadał biały człowiek!*

I natychmiast zaczęły się zastanawiać i naradzać, jaki dar mógłby być najodpowiedniejszy.

Jedna z małp rzekła:

— *Pięćdziesiąt worków pełnych kokosowych orzechów!*

Druga małpa oświadczyła:

— *Sto pęków bananów! Przynajmniej nie będzie musiał kupować sobie owoców w tym kraju, gdzie za wszystko, co się je, trzeba płacić.*

Lecz Czi-Czi osądziła, że te wszystkie rzeczy są zbyt ciężkie i nie nadają się do dalekiej podróży, zepsują się zresztą — zanim je do połowy zje.

— *Jeśli mu chcecie sprawić przyjemność* — radziła — *to podarujcie mu jakieś osobliwe zwierzę, którego biali ludzie nie mają w menażeriach.*

Małpy zapytały:

— *Co to są menażerie?*

Czi-Czi objaśniła im, że menażerie są to takie miejsca w kraju białych ludzi, gdzie zwierzęta siedzą w klatkach, aby je sobie ludzie oglądali. To oburzyło małpy do żywego i mówiły do siebie:

— *Ci ludzie zachowują się jak bezmyślne dzieciaki, głupie i swawolne, cieszą się z byle czego. Pfe! To pewnie jest więzienie.*

I poczęły wypytywać Czi-Czi, co by to mogło być za osobliwe zwierzę, którego biali ludzie jeszcze nie posiadają.

Najmędrsza z jedwabistych małpek spytała:

— *Czy mają tam u was iguanę?*

Lecz Czi-Czi odparła:

— *Tak jest jedna w zoologicznym ogrodzie w Londynie.*

Inna znów zapytała:

— *Czy mają okapi?*

I Czi-Czi znów odparła:

— *Tak w Belgii, gdzie mnie przed pięciu laty kupił mój katarynarz, posiadali okapi w pewnym wielkim mieście, które nazywa się Antwerpia.*

A inna znów zapytała:

— *Czy mają dwugłowca?*

Wtedy Czi-Czi powiedziała: — Nie. Żaden biały nie widział nigdy na oczy dwugłowca. To zwierzę podarujemy doktorowi.

na ekranie TV

9.I—15.I

PIĄTEK

PROGRAM I

6.00, 6.35 TTR RTSS;
8.10 Dla szkół: geografia, kl. 7;
9.00 Program dla najmłodszych kl. 3;
9.35 Dla szkół: geografia, kl. 6;
13.30, 14.00 TTR;
14.30 Redakcja szkolna zapowiada;
15.20 Nurt;
15.30 Program dnia;
15.55 Obiektyw;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla dzieci: „Piątek z Pankracym";
16.55 „Dzień dobry, w kręgu rodziny";
17.15 „Kraj za miastem" — progr. publ.;
17.40 „Pod jednym dachem" (1) kom. obyczajowa TV CSRS;
18.40 Rolnicze rozmowy;
18.50 Dobranoc;
19.00 Telewizja młodych przedstawia c.d.n. „Pociąg" (3);
19.30 Dziennik;
20.10 Program rozrywkowy;
21.55 „Listy o gospodarce";
22.35 Dziennik;
22.50 Program muzyczny.

PROGRAM II

10.00 „Pod jednym dachem" (1) kom. obyczajowa TV CSRS;
11.00 „Siedemnaście mgnień wiosny" (11) serial prod. radz.;
12.05 „Gwiazdozbiór" — Jerzy Stuhr;
16.05 Język francuski — kurs podst., lek. 12;
16.35 Język rosyjski — kurs podst. lek. 12;
17.05 Program dnia;
17.10 Dla młodych widzów: kino TDC „Dick Turpin" — „Tajemniczy ludzie" — prod. ang.
17.35 Klub Jazzowy Studia Gama — Vademecum;
18.15 Małe kino — „Refleksy" — pol. film anim.; „Nie fantazjuj" — film anim. CSRS;
18.30 „Kształt polskiej kultury" cz. 2;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 Kronika (Kr)
19.30 Dziennik;
20.15 „Grypa «King-Kong»" (2) film sens. TV NRD;
21.45 24 godziny;
22.50 „Gwiazdozbiór" — Jerzy Stuhr;
22.50 Język francuski — kurs. podst. lek. 12;

SOBOTA

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR;
7.00, 7.30 TTR, RTSS;
9.15 Program dnia;
9.30 „Radar";
10.05 Koncert WOSPiRT Gioachino Rossini — uwertura „Tankred"; Antoni Dvořak — koncert wiolonczelowy h-moll op. 104;
11.00 Klub dobrej książki" — mag. inform.;
11.25 „Człowiek, ziemia, kosmos";
11.55 Dziennik;
12.15 Studio 2;
18.00 Dobranoc;
19.30 Dziennik;
20.10 Studio 2 (cd.).

PROGRAM II

14.00 Spotkania w dwójce;
17.35 „Siedemnaście mgnień wiosny" (10) film. sens. TV ZSRR;
18.40 „Bartek" — reportaż o 1000-letnim dębie Bartku;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 Kronika (Kr);
19.30 Dziennik;
20.10 Spotkania w dwójce;
20.15 Magazyn sprawozdawczy (sport);
21.50 „Anna Karenina" — adaptacja filmowa powieści Lwa Tołstoja;

NIEDZIELA

PROGRAM I

6.20, 6.50 RTSS;
7.20 TTR, RTSS;
7.40 „Nowoczesność w domu i zagrodzie";
8.10 Emerytury dla rolników;
8.20 „Telewizjada";
8.55 Program dnia;
9.00 Teleranek TDC oraz „Niedźwiedź pana Adamsa";
10.20 Antena;
10.50 „Majowie — 1000 lat niezwykłej kultury" — ser. dok. prod. franc.;
11.40 Telewizyjny koncert życzeń;
12.25 Dziennik;
12.45 „Dlaczego?" — progr. red. rolnej;
13.30 Tylko w niedzielę;
15.00 Wieczorynka;
19.39 Dziennik;
20.10 „Najdłuższy dzień" — dramat wojenny, prod. USA;
22.15 Tylko w niedzielę (cd.).

PROGRAM II

9.40 „Ofensywa styczniowa" — progr. wojsk.;
10.00 Spotkania w dwójce;
10.35 Przeboje tygodnia;
12.25 „Parada oszustów" (2);
13.20 Kalejdoskop;
14.10 „Czterej pancerni i pies";
15.20 Opera miesiąca;
16.30 Misja — film TP;
17.30 Teatr Telewizji — Franciszek Zabłocki — „Król w kraju rozkoszy";
18.30 Świat na życzenie telewidzów;
19.30 Dziennik;
20.10 Spotkania w dwójce (cd.);
20.18 „Gwiazdka wśród gwiazd" — progr. estr. prowadzi Gregory Peck;
21.40 „W klasycznym stylu..." — progr. baletowy TV ZSRR;

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

13.30, 14.00 TTR, RTSS;
15.20 Nurt;
15.30 Program dnia;
15.55 Obiektyw;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla dzieci: „Zwierzyniec";
16.55 „Dzień dobry, w kręgu rodziny";
17.20 „Arsene Lupin" — Czerwony, jedwabny szal";
18.10 „Krok po kroku";
18.40 Rolnicze rozmowy;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Echa stadionów";
19.30 Dziennik;
20.10 Teatr telewizji — Edward Redliński — „Pustaki";
21.45 „Węgry — 12 lat reformy";
22.15 Dziennik;
22.30 Leonard Cocan — „Pieśni miłości i nienawiści".

PROGRAM II

10.00 „Ortalionowy dziadek" — film obycz. TP;
10.30 Koncert w Żelazowej Woli;
10.50 STUDIO BIS;
16.05 Język niemiecki — kurs. podst. lek. 13;
16.30 język angielski — kurs dla zaawansowanych, lek. 6;
17.00 STUDIO BIS;
18.10 Kronika (Kr);
19.30 Dziennik;
20.10 STUDIO BIS;
ok. 21.10 24 godziny;
22.30 „Ortalionowy dziadek" — film obycz. TP;
22.55 Język niemiecki — kurs podst., lek. 13;

WTOREK

PROGRAM I

6.00, 6.30 RTSS;
9.00 Dla szkół: język polski, kl. 1 lic.;
9.55 Dla szkół: język polski, kl. 2 lic.;
11.00 Dla szkół: wychowanie plastyczne, kl. 3;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
14.35 Telewizja w sprawie miliardów;
15.50 Program dnia;
15.55 Obiektyw;
16.15 Dziennik;
16.30 „Telewizyjny klub seniora";
16.55 „Interstudio";
17.20 „Królik Bugs przedstawia";
17.50 Telewizja młodych przedstawia C.D.N.;
18.30 „Lekarz radzi" o nerwicach;
18.40 Polska Kronika Filmowa;
18.50 Dobranoc
19.00 Koncert w Żelazowej Woli wyst.: Andrzej Hiolski i Jerzy Marchwiński;
19.30 Dziennik;
20.10 „Martin Luther King" (1) — dramat społ. prod. USA;
21.55 „Prawdę mówiąc";
22.35 Dziennik;
22.50 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

10.00 „Szkiełko i oko" — program popularnonaukowy;
11.05 „Lekarz radzi" — o nerwicach;
11.15 „Wtorek melomana" — spotkanie z Krzysztofem Pendereckim;
15.20 Język angielski — kurs. podst. lek. 13;
15.50 Język niemiecki — kurs. podst., lek. 12;
16.15 Program dnia;
16.20 Dla młodych widzów: — „Latający Holender";
17.30 „Człowiek i środowisko";
18.00 „Szkiełko i oko";
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 Kronika (Kr);
19.30 Dziennik;
20.10 „Wtorek melomana" — spotkanie z Krzysztofem Pendereckim;
21.10 24 godziny;
21.20 „Bez recept" — rozmowy o wychowaniu;
21.50 Filmoteka narodowa — filmy Andrzeja Wajdy — „Popioły" (1);
23.40 Język angielski — kurs dla zaawansowanych, lek. 6.

ŚRODA

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
8.10 Dla szkół: chemia, kl. 8;
9.55 Dla szkół: fizyka, kl. 7;
11.00 Dla szkół: muzyka, kl. 1;
14.55 Dla szkół: fizyka, kl. 8;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
14.30 W drodze do nowego;
15.00 Telewizja w sprawie miliardów;
15.20 Nurt;
15.30 Program dnia;
15.55 Obiektyw;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla dzieci: „Michałki";
16.55 „Dzień dobry, w kręgu rodziny";
17.25 Losowanie express lotka i małego lotka;
17.35 „Turystyka i wypoczynek";
18.05 „Konfrontacje"
18.50 Dobranoc;
19.00 „Camerata" — mag. muzyczny;
19.30 Dziennik;
20.10 Robotnicze sprawy — „Pejzaż horyzontalny" pol. film obycz.;
21.45 Dziennik;
22.00 „Trybuna literacka" po zjeździe Związku Literatów Polskich;
22.30 Telewizja w sprawie miliardów;

PROGRAM II

10.00 Sprawy młodych — „Gąski" film obyczajowy, CSRS;
11.25 „Sensacje z przeszłości" — włócznia św. Maurycego;
11.55 „Turystyka i wypoczynek";
12.25 „Trybuna literacka" — po zjeździe ZLP;
16.05 Język angielski — kurs dla zaawansowanych, lek. 6;
16.35 Język angielski — kurs podst., lek. 13;
17.05 Program dnia;
17.10 Program morski;
17.40 Sprawy młodych — „Gąski" film obyczajowy, CSRS;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 Kronika (Kr.)
19.30 Dziennik;
20.10 „Sensacje z przeszłości" włócznia św. Maurycego;
21.40 „Milion pogodnych nut" wystąpi Zbigniew Kondej;
20.55 24 godziny;
21.05 Dla młodzieży poradnia „Zaufanie";
21.45 Teatr wspomnień 1970 — Gabriela Zapolska — „Moralność pani Dulskiej"
23.25 Język angielski — kurs podst., lek. 13.

CZWARTEK

PROGRAM I

6.00, 6.30 TTR, RTSS;
8.10 Dla szkół: zoologia, kl. 7;
9.00 Dla szkół — język polski, kl. 1 lic.;
9.55 Dla szkół: język polski, kl. 2, lic.;
12.50 „Niespokojna planeta" film oświatowy;
13.30, 14.00 TTR, RTSS;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.15 Program dnia;
15.20 Dla młodych widzów: — turniej zaczepowych;
15.55 Obiektyw;
16.15 Dziennik;
16.30 Dla młodych widzów: Czwartek TDC;
17.30 Magazyn motoryzacyjny;
17.55 Telewizja młodych przedstawia — C. D. N.;
18.25 Poligon;
18.50 Dobranoc;
18.55 „Sonda" — Balans;
19.30 Dziennik;
20.10 Teatr telewizji — Paweł Kędzierski — „Kwiaty dla Algernona" — serial science-fiction;
21.20 „Pegaz";
22.10 Dziennik;
22.55 „50 lat z Lot-em" progr. rozrywkowy;
23.50 Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

10.00 „Sonda" — „Balans";
10.35 „Pod banderą słońca";
11.30 Pegaz młodych;
12.00 „50 lat z Lot-em" — progr. rozrywkowy;
12.25 Magazyn motoryzacyjny;
15.55 Język rosyjski, kurs podst., lek. 13;
16.25 Język francuski, kurs podst., lek. 13;
16.55 Program dnia;
17.00 Poradnik wędkarski — „Taaka ryba";
17.30 „Pod banderą słońca" — widowisko estradowe festiwalu piosenki żołnierskiej Kołobrzeg 80;
18.30 Pegaz młodych;
19.00 Piosenki tygodnia;
19.10 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.10 Nurt;
20.40 Nurt;
21.10 24 godziny;
21.20 „Wiem co jem" — progr. publ.;
21.50 „Klaps" — magazyn filmowy;
22.20 Nurt;
22.50 Język rosyjski — kurs podst., lek. 13.

REPERTUAR KIN

(Przypominamy, że filmy szczególnie przez nas polecane wyróżniamy drukiem pogrubionym).

GORLICE — Wiarus: do 11 Proces poszlakowy (japoński, kryminalny), 12—13 Boska Emma (czechosłowacki, biograficzny), 14—16 Zemsta różowej pantery (brytyjski, groteska); **GRYBÓW** — Biała: 10—11 Skrzydełko czy nóżka (francuski, farsa), 12 Flic story (francuski, policyjny), 13—15 Tropem tygrysa (radziecki przygodowy); **KRYNICA** — Jaworzyna: do 9 Ofiara (węgierski, psychologiczno-kryminalny), 10—11 **Koziorożec-1** (USA, sensacyjno-przygodowy), 12—13 **Dick i Jane** (USA, komedia), 14—16 Emil komediant (NRD, kryminalno-kabaretowo-polityczny); **LIMANOWA** — Sojusz: do 11 **Kontrakt** (polski, komediodramat społeczny), 13—14 Ofiara (węgierski, psychologiczno-kryminalny), 15—18 Powrót Mechagodzilli (japoński, sensacyjno-fantastyczny); **MSZANA DOLNA** — Lubań: do 11 Z przewiązanymi oczami (hiszpański, psychologiczno-polityczny), 13—14 **Paciorki jednego różańca** (polski, dramat rodzinny); **MUSZYNA** — Baszta: 9—11 Hair (USA, musical kontestatorski), 13—14 **Dyrygent** (polski, psychologiczno-społeczny). **NOWY SĄCZ** — Podhale: 9—12 **Zapach kobiety** (włoski, psychologiczny), 13—17 **Bez miłości** (polski, psychologiczno-społeczny); **NOWY TARG** — Tatry: do 9 **Bez miłości** (polski, psychologiczno-społeczny), 10—12 Siedem dni stycznia (hiszpański, polityczny), 13—14 Po drodze (węgierski-polski, psychologiczny), 15—19 Glina czy łajdak (francuski, sensacyjno-kryminalny), **RABKA** — Śnieżka: do 11 Rocky II (USA, sportowy), 13—14 **Wyznanie miłości** (radziecki dramat rodzinny), 15—18 **Kontrakt** (polski, komediodramat społeczny), **STARY SĄCZ** — Poprad: 10—11 **Koziorożec-1** (USA, sensacyjno-przygodowy), 12—13 Trędowata (polski, melodramat), 14—15 Barroco (francuski, o miłości); **SZCZAWNICA-KROŚCIENKO** — Pieniny: 9—11 Przypływ uczuć (francuski, przygodowy), 13—15 Wujaszek Marin miliarderem (rumuński, komedia); **SZCZAWNICA-KROŚCIENKO** — Sokolica: 9—11 Rewolwer (włoski, psychologiczno-społeczny), 12—14 Ojciec królowej (polski, kostiumowy); **ZAKOPANE** — Giewont: do 12 Glina czy łajdak (francuski, sensacyjno-kryminalny), 13—15 Tango ptaka (polski, młodzieżowy). **Ponadto: CZARNY DUNAJEC** — Podhale: 10—11 **Obcy — 8 pasażer „Nostromo"** (brytyjski. horror kosmiczny); **JABŁONKA** — Orawa: 8—9 **Do krwi ostatniej** (polski, epopeja wojenna), 10—11 **Rocky** (USA, ballada społeczna); **LUBIEŃ** — Strzebel: 14 **Dom pod czerwoną latarnią** (węgierski, psychologiczno-obyczajowy); **PIWNICZNA** — Zdrój: 9—11 **Chiński syndrom** (USA, sensacyjny); **RABA WYŻNA** — Orkan: 10—11 **Kieszonkowe** (francuski, opowieść psychologiczna o dzieciach), 17—18 **Obcy — 8 pasażer „Nostromo"** (brytyjski, horror kosmiczny); **TYMBARK** — Paproć: 10—11 **Obcy — 8 pasażer „Nostromo"** (brytyjski, horror kosmiczny).

Za zmiany w programie wprowadzone w ostatniej chwili, redakcja nie bierze odpowiedzialności.

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz odpowiedzialny), Adam Garbica, Elżbieta Glinka (zastępca redaktora naczelnego), Antoni Kroh, Jerzy Lesniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny), Stanisław Śmierciak (autoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11. Telefony 238-36, 238-90. Teleks: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok 58, telefon 203-29, 275-88 wewn. 238. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Krakowie ul Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 270-89, oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 208 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Nr indeksu 35657. H-17.

POZIOMO:

4 — nauka, pogląd na świat, mądrość; 6 — frakcja, ugrupowanie; 7 — przystąpienie, włączenie się do akcji, organizacji; 9 — urządzenie radiolokacyjne; 10 — buraczki z chrzanem; 11 — rocznik; 14 — np. Różyckiego w Warszawie; 15 — miasto w woj. poznańskim, na Równinie Kutnowskiej; 17 — może być literacki, muzyczny; 19 zapora na drodze przed przejazdem kolejowym; 22 — określenie umiarkowanego tempa w muzyce, 23 — bieg na dystansie 42 km; 26 — jednostka powierzchni gruntów; 27 — dekoracja plastyczna np. sceny teatralnej, ujęcia filmowego; 28 — jeden z najlepszych żużlowców polskich; 29 — bywa najczęściej pijacka; 30 — architekt wnętrz; 32 — groźniejsze od pszczół; 33 — element maszyny; 34 — obchodzimy je raz w roku; 36 — intensywnie żywiony prosiak; 37 — jeden ze szczytów w Paśmie Radziejowej; 41 — przysłania twarz kobiety; 43 — apel do ludności; 45 — figura w kartach; 48 — do umocowania części metalowych obra-

PIONOWO:

1 — niesprawiedliwość; 2 — błyszcząca przy pasku; 3 — datek na tacę; 4 — zakładka na spódnicy, zdrobniałe; 5 — intonacja; 6 — szkolnictwo; 8 — najlepsza jarzynowa; 12 — żeńsko-męska szkoła; 13 — niszczenie, trwonienie; 14 — wanna retro; 15 — skała osadowa, składająca się z ziarn kwarcu; 16 — lokum, nieszkanie tymczasowe (wspak); 18 — wirnik, ruchoma część silnika; 19 — imię męskie; 20 — rodzaj naleśników z fermentowanego drożdżami ciasta; 21 — napad powietrzny; 24 — prośby, błagania; 24 — drapieżna ryba; — 25 — zdrobniałe nitka, 28 — egoista; 31 — płaski obszar powierzchni ziemi; 35 — obraz religijny wsch.-chrześc.; 38 — jednostka czasu w dziejach Ziemi; 39 — stosowany przy wyrobie lekarstw i kosmetyce; 40 — drzewo o miododajnych kwiatach; 42 — statek wojenny; 44 — np. projekcyjny; 45 — jednostka mocy; 46 — jednostka monetarna we Włoszech; 47 — dźwięk o określonej wysokości; 49 — dozu, poreja; 51 — widziadło, mara; 57 —

bianych ręcznie; 50 — błona filmowa; 52 — renifer amerykański; 53 — geralskie ognisko; 54 — grająca skrzynka na korbkę; 55 — tulipan, 56 — nieusprawiedliwiona nieobecność w szkole; 61 — do wiecznych piór; 64 — najdłuższa rzeka na Ziemi (Afryka); 65 — Stany Zjednoczone Ameryki; 66 — znak ozdobny, utworzony z jednej lub kilku powiązanych liter; 68 — miejscowość, część kraju odległa od stolicy; 69 — przepowiednia; 70 — symbol ucisku politycznego, zdobyta przez lud Paryża; 72 — pisarz i eseista, odnowiciel prozy fantastyczno-naukowej; 73 — jednostka pracy; 75 — wygląd zewnętrzny, 77 — wypadek, stłuczka; 79 — poświata; 81 — środek transportu bezszynowego o napędzie elektrycznym; 86 — jednostka monetarna w NRD; 88 — w porzekadle: wyszło z worka; 92 — stosowany do budowy nawierzchni drogowych; 93 — ptak z rodziny brodzących; 94 — filmowy kochanek; 96 — odcinek drogi w naprawie!; 97 — sztuczna nawierzchnia stadionów lekkoatletycznych; 98 — miasto w woj. nowosądeckim, w Beskidzie Wyspowym; 101 — łódź wiosłowa używana w Wenecji; 105 — sploty, kosy; 106 — zwierzyniec; 107 — trójchloroetylen, stosowany do prania na sucho; 108 — może być np. pola, prądu elektrycznego, oświetlenia; 110 — lecznicze ziele, zawierające dezynfekujący olejek eteryczny; 111 — zabezpieczą przed wyładowaniami atmosferycznymi, 113 — duchowny prawosławny; 114 — ptak z rodziny drozdów; 115 — nanoszenie poprawek; 117 — poemat epiczny przypisywany Homerowi; 118 — jadalnia dla ptaków; 120 — po-

dobno „czyni cuda"; 121 — badanie statystyczne; 122 — potocznie — zabytek sztuki; 125 — drewniejąca trawa, mająca wszechstronne zastosowanie np. do wyrobu wędzisk; 127 — widowisko, zabawa, zawody sportowe; 128 — występu-

jące u wielu ptaków rozszerzenie przełyku, służące głównie do magazynowania pokarmu; 130 — drzazga; 131 — walka zbrojna między państwami; 132 — państwo w Ameryce Środk. graniczy z Hondurasem.

miasto w Hiszpanii, port nad rzeką Gwadalkiwir; 58 — Stan w płd.-wsch. części USA; 59 — rzeka, prawy dopływ Wisły w dolnym jej biegu; 60 — początkowe litery imienia i nazwiska; 62 — rozkaz dla psa; 63 — zjawisko występujące po burzy; 66 — drzewo, którego liście stanowią pokarm dla gąsienic jedwabnika; 67 — deszczułki drewniane do krycia dachów; 71 — przejście na wyższe stanowisko; 72 — biała u niewidomego; 74 — dialekt; 76 — drzewo iglaste z rodziny sosnowatych; 78 — obiekt sportowy; 80 — węgierska potrawa z papryki; 81 — tłuszcz płynny z niektórych ryb i ssaków morskich; 82 — poetyczny utwór wierszowany, opiewający wybitną postać, wydarzenie; 84 — obchodzi imieniny razem z Adamem; 84 — służy do poganiania konia; 85 — wstrząs, stan nagłego zaburzenia akcji serca; 87 — I sekretarz KC węgierskiej Socjalist. Partii Robotniczej; 89 — bakteria chorobotwórcza; 90 — druga pod wzgl. wielkości obszar wodny na Ziemi; 91 — popiecznik; 95 — owoc cytrusowy; 99 — poeta i dramaturg, pseudonim El...y (1838—97); 100 — kapusta polna; 101 — karczma; 102 — okres w rozwoju kultury europejskiej (XVII—XIX); 104 — pustynia w płn. Chile; 104 — budka z gazetami; 105 — werwa, zapał; 109 — dźwig, kran; 112 — grzbiet w Tatrach Zach. między Doliną Kościeliską a Starorobociańską; 116 — najwyższy szczyt Gorców; 119 — zanik pamięci; 123 — miasto w Iranie, duży port naftowy nad Szatt al-Arab; 124 — trzykonny zaprzęg ciągnący sanie; 126 — kojarzy pary; 129 — zwycięzca; 131 — znak zodiaku.